NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. Kraków, 12. maja 1917. Nr. 19.

Para cesarska w Krakowie.



Powitanie pary cesarskiej w barbakanie. (Fot. Pierzchalski, Kraków).

Para cesarska w Krakowie.

Gród podwawelski witał w swych prastarych murach Dostojnych Gości. Po raz pierwszy od wstąpienia na tron przybył do Krakowa młody władca Austryi z małżonką, witany uroczyście przez ludność. W sobotę, dnia 5. maja, panował w mieście ruch ożywiony, zwłaszcza, że pogoda niezwykle dopisała. Dzień był prawdziwie wiosenny, ciepły i słoneczny.

Tuż po szóstej godzinie rano wypłynęły na odświętnie przybrane miasto tłumy ludzi i zajmować poczęły ulice, któremi miał przejeżdżać **monarcha**. Wzdłuż ulicy Basztowej, Floryańskiej i Rynku, oraz na placu przed dworcem kolejowym ustawiły się długie szeregi młodzieży szkolnej, pod przewodnictwem grona nauczycielskiego. Porządek na ulicach utrzymywały formacye wojskowe, żandarmerya i policya. — Poza szpalerami wojska i młodzieży zajęły miejsca tłumy publiczności. Przed gmachem starostwa ustawiono karny rząd wychowanków szkoły kadeckiej w Łobzowie.



Para cesarska w Krakowie: Przybycie pary cesarskiej do barbakanu. Córeczka prezydenta miasta wręcza cesarzowej bukiet. (Fot. Pierzchalski, Kraków)

Na dworzec kolejowy, celem powitania pary cesarskiej, przybyli dygnitarze wojskowi i cywilni. Nadto przed samym przyjazdem pociągu dworskiego przybył arcyksiążę Karol Stefan w mundurze admirała floty z synem, podpułkownikiem arcyksięciem Karolem Olbrachtem. Całą lewą część dworca zajęła honorowa kompania, oraz orkiestra 54 p. p.

Na dziesięć minut przed godziną **dziewiątą**, gdy pociąg dworski wyjeżdżał z Bierzanowa, rozległy się uroczyste salwy armatnie z kopca Kościuszki.

O godzinie dziewiątej pociąg dworski stanął na dworcu krakowskim; przybycie jego oznajmił sygnał „**baczność**" dany trąbką i marsz generalny. W tej chwili orkiestra wojskowa zagrała hymn państwowy.

Gdy pociąg **stanął**, z wagonu środkowego wysiadł cesarz Karol z małżonką, z dalszych, Jego otoczenie. Cesarz ubrany był w mundur marszałka polnego.

Po powitaniu, para cesarska z otoczeniem udała się przed front kompanii honorowej. Po **raporcie** cesarz rozmawiał uprzejmie z oficerami i żołnierzami, wypytując się o szczegóły przebytych walk.

Następnie, przez udekorowany salon restauracyjny pierwszej klasy udał się monarcha z małżonką na plac przed dworcem kolejowym, gdzie powitały Ich niemilknące okrzyki zebranej licznie młodzieży



Para cesarska w Krakowie: Cesarz Karol i cesarzowa Zyta opuszczają kościół Maryacki. (Fot. „Adela", Kraków).





Para cesarska w Krakowie: (Fot. inżynierya wojskowa w Krakowie. Reprodukcya zastrzeżona).

Arcyksiążę Karol Stefan (X) na dworcu, w oczekiwaniu na przyjazd pary cesarskiej. Cesarz Karol rozmawia z żołnierzami kompanii honorowej na dworcu.

i publiczności „Niech żyją!“ Cesarz zajął z małżonką otwarty powóz dworski.

Od pierwszej chwili nkazania się pary cesarskiej zebrane tłumy witały Ją okrzykami, za które zarówno cesarz, jak cesarzowa, dziękowali uprzejmie ukłonami.

W historycznym barbakanie krakowskim oczekiwała przybycia dostojnych gości rada miasta Krakowa pod przewodnictwem wiceprezydentów Federowicza, Sarego i Rollego. Wielu radców wystąpiło w strojach narodowych.

W chwilę po godzinie dziewiątej przybył do barbakanu prezydent dr Leo. który poprzednio witał Gości na dworcu, delegat Fedorowicz, generalicya z komendantem Guseckiem i eksc. Brandnerem. Za nimi przybył cesarz z małżonką, w licznem otoczeniu, witany okrzykami zebranych.

W odpowiedzi na powitalne przemówienie prezydenta dra Lea, cesarz Karol odczytał następującą mowę w języku niemieckim:

„Zapewnienia wierności i oddania się, które Pan, imieniem królewskiego miasta Krakowa, wyraziłeś, wysłuchałem z osobliwem zadowoleniem, a dziękuję też Panu imieniem cesarzowej za tę manifestacyę lojalności, która się także w tej wojnie okazała wypróbowaną i na której tutaj zawsze mogę budować

Ponieważ tym razem nie było mi możliwem zabawić we Lwowie, stolicy mego królestwa Galicyi, chciałem przynajmniej odwiedzić czcigodny gród wawelski. Nie po raz pierwszy bawię w tem najprzedniejszem ognisku starej polskiej tradycyi i kultury, gdzie zdołano iść krok w krok z czasem i przed dziesiątkiem lat rozpoznać kierunek, po którym porusza się rozwój narodu i kraju.



Para cesarska w Krakowie: Cesarz Karol i cesarzowa Zyta w barbakanie

(Fot inż. wojskowa w Krakowie. Reprodukcya zastrzeżona).

Jest mi dobrze wiadomem, z jakiem powodzeniem obywatele i administracya tego miasta pod pańskiem wypróbowanem kierownictwem i świadomą celu pracą starali się napełnić miasto duchem nowoczesnym, stworzyć mu możliwość rozwoju w przestrzeni i wyzyskać warunki, które dane były dla jego gospodarczego rozwoju, dzięki szczęśliwemu zawiadywaniu sąsiednimi skarbami węglowymi i rozpoczęciu dróg wodnych. Spodziewam się też, że po nastaniu błogosławieństw pokoju, stara siedziba kultury stanie się także potężnym centrem pracy przemysłowej.

Rozkwit tego miasta, jego materyalny i społeczny dobrobyt zawsze leżeć mi będą na sercu.“

Po przyjęciu w barbakanie, wśród nieustannych okrzyków i dźwięków muzyki wyruszyła para cesarska przez ulicę Floryańską do kościoła P. Maryi. Rynek cały wypełniły tłumy publiczności, entuzyastycznie witającej parę monarszą.

Kościół Maryacki był odświętnie przybrany dywanami i krzewami. Przed ołtarzem ustawiono dwa klęczniki i fotele, zaś stalle przykryto jedwabną materyą. Przez środek kościoła tworzyły szpaler dwa szeregi żołnierzy.

O godzinie dziewiątej przybył ks. biskup Sapieha, ks. arcybiskup Symon, ks. arcybiskup Teodorowicz,





Odjazd pary cesarskiej z dworca kolejowego **Para cesarska w Krakowie:** Cesarzowa Zyta po odwiedzinach w szpitalu.

(Fot. inżynierya wojskowa w Krakowie. Reprodukcya zastrzeżona.)



Para cesarska w Krakowie: Tłumy w ulicy Lubicz
(Fot. inżynierya wojskowa w Krakowie. Reprodukcya zastrzeżona.)

ks. biskup Pelczar, ks. mitrat gr.-kat. Bielecki, oraz znaczna liczna duchowieństwa. — Książę biskup witając parę cesarską przy wejściu, był przybrany w cenną infułę z roku 1450 i kapę z kościelnego skarbca. Obok księcia biskupa stanęli ks. prałat Wądolny, dyakon ks. dr. J. Niemczyński oraz zebrani arcybiskupi i biskupi.

Gdy wśród okrzyków i dźwięku dzwonów przybyła para cesarska, ks. biskup powitał Ją, podając pacyfikał i aspergilę, poczem w uroczystej procesyi zaprowadził Ją przed główny ołtarz.

Gdy cesarstwo uklękli na przygotowanych klęcznikach, rozpoczęto nabożeństwo, w czasie którego odśpiewał chór kilka pieśni. Po modłach błagalnych ks. biskup udzielił błogosławieństwa, poczem uroczyście odprowadził parę cesarską do wyjścia. Gdy para cesarska opuszczała świątynię, chór kościelny odśpiewał „Boże coś Polskę".

Po wyjściu z kościoła para cesarska udała się powozem do pałacu rządowego, gdzie w odświętnie przybranym westybulu powitała Ją arcyks. Marya Teresa, a następnie siostra delegata p. Ludmiła Fedorowiczówna. Para cesarska przeszła do przeznaczonych apartamentów i rozpoczęła posłuchania.

Wśród licznych delegacyi przyjął monarcha na specyalnem posłuchaniu prezydyum Koła polskiego. W czasie audyencyi prez. Koła polskiego ekscellencya Biliński wygłosił przemówienie, na które cesarz Karol odpowiedział następującemi słowy:

„Z nadzwyczajną radością słyszę manifestacyę wypróbowanej uniżoności i przywiązania, które pan imieniem polskiej reprezentacyi parlamentarnej wyraziłeś i korzystam chętnie ze sposobności, aby z jaknajpełniejszem uznaniem wspomnieć o wierności, którą wasz kraj wśród ciężkich czasów wojennych zachował. Bądźcie panowie pewni mego najgorętszego zrozumienia potrzeb waszej Ojczyzny w tych wielkich ciężkich czasach.

Osobiste stosunki, ożywione wzajemnem zaufaniem, które wytworzyły się między dostojnym moim Wujem-Dziadkiem a Polakami, pragnę utrzymać dla siebie. Ożywiony serdecznemi sympatyami dla narodu polskiego i rozumiejąc jego uczucia, pragnę współdziałać przy budowie nowo utworzonego państwa polskiego i urzeczywistnić pismo odręczne mego zmarłego poprzednika z 4. listopada 1916 Oby kraj widział w tem poważny znak mego wielkiego zaufania, przez co ma być stworzona zgoda obu narodów kraj zamieszkujących i Galicya ma być tem silniej połączona ze mną i moim domem."

Równocześnie w przyległych apartamentach cesarzowa Zyta udzielała posłuchań damom zajętym w Czerwonym Krzyżu i w towarzystwach opieki wojennej.

Po ukończeniu posłuchań cesarzowa z orszakiem udała się do szpitala garnizonowego, w Akademii handlowej, gdzie wyjaśnień udzielał lekarz pułkowy dr Merunowicz. Cesarzowa zwiedziła dokładnie cały szpital, rozmawiała z rannymi, których obdarowała.

Po powrocie cesarzowej do gmachu starostwa, para cesarska pożegnała się z zebranymi, dziękując za serdeczne przyjęcie, poczem wśród grzmiących okrzyków odjechała przed godziną dwunastą w południe na dworzec.



Trzeci maja w Krakowie: Festyn w parku Jordana.



Trzeci maja w Krakowie: Pochód dziatwy pod pomniki twórców konstytucyi na festynie w parku Jordana

Przy wyjeździe z Krakowa, cesarz Karol, żegnając się na dworcu z prezydentem miasta dr. Leo, prosił go o wyrażenie mieszkańcom miasta najgorętszego podziękowania pary cesarskiej za serdeczne przyjęcie, jakie parze cesarskiej zgotowano podczas pobytu w Krakowie. Cesarz zapewnił również prezydenta miasta, że z wielką przyjemnością odwiedza nasze miasto i żałuje, iż tym razem nie mógł tutaj pobytu swego przedłużyć.

Banknoty Królestwa Polskiego.

W końcu kwietnia zostały w Królestwie Polskiem puszczone w obieg marki polskie, które, stosownie do rozporządzenia jenerał-gubernatora Beselera, stały się jedynym prawnym środkiem płatniczym na okupacyi niemieckiej, przyczem kurs jednego rubla ustanowiony został na 2·16 marek polskich, a wszystkie ceny muszą być odtąd wyznaczone w markach polskich.

Marka polska, której fotografie zamieszczamy w dzisiejszym numerze, na jednej stronie posiada napis: „Bilet krajowej polskiej kasy pożyczkowej", na drugiej zaś stronie, obok cyfry i orła polskiego, widnieje napis: „Rzesza niemiecka przyjmuje odpowiedzialność za spłatę biletów Kasy pożyczkowej w markach niemieckich po cenie nominalnej. Zarząd jenerał-gubernatorstwa warszawskiego".

Stefan Turski.

Wojenny urząd pana Mateusza.

(Dokończenie)

— Właśnie... a że w czasie wojny uczciwego człowieka nie znajdzie na lekarstwo, więc Mateusza powołują — zawyrokowała najbliższa sąsiadka.

Dniało już na dobre, gdy Mateusz z Barbarą wrócili z kuferkiem i flaszką wódki, zakupioną za „ostatnie" trzy papierki do domu.

Mateusz spojrzał na swoją „cebulę" i zauważył, że czas mu w drogę, bo kolej nie czeka. Po wtłoczeniu manatków do kuferka, między któremi był kawał słoniny, chleb, kiełbasa i zakupiona wódka, po wzięciu ze skrzyni trzech dziesiątek, zapalił Mateusz fajkę na drogę, pożegnał się czule z Barbarą i ruszył do stacyi kolejowej.

Barbarze łzy kręciły się w oczach przy pożegnaniu, chciała nawet Mateusza odprowadzić, lecz, że ją alkohol zmógł, położyła się spać.

— — — — — — — — — — — —

Po całodziennych wrażeniach, upojony szczęściem i alkoholem, chrapał pan Mateusz, zagłuszając turkot kół wagonu.

— Panie, gdzie pan jedzie? — huknął nad uchem śpiącemu panu Mateuszowi jakiś głos.

— Ja rzeczoznawca z „centrali"! Barbaro, czy marzyłaś kiedy o takiem szczęściu? — bredził na wpół rozbudzony Mateusz.

— Do dyabła, nie zawracaj pan głowy z centralą Barbary, tylko dawaj pan bilet!

Mateusz, na wpół śpiący, wydobył zawiązany w róg chusteczki bilet i podał kontrolorowi.

— Gdzie pan jedzie? — spytał kontrolor.

— Na bilecie tam napisano — rzekł, ziewając przeciągle.

— Czyś się pan wściekł, czy pan kpisz sobie ze mnie! — odrzekł kontrolor — Przed czterema godzinami przejechaliśmy już tę stacyę!

— Co takiego? — wyjąkał zaspany pan Mateusz.

— Na najbliższej stacyi wysiadaj pan, za pół godziny będzie pan miał pociąg powrotny.

Mateusz przeciera oczy, nie może się zoryentować, co się z nim dzieje i gdzie się znajduje. — Patrzy zdziwiony na gapiących się na niego pasażerów i woła:

— Gdzie jest Barbara?

Śmiech ogólny przyprowadził wreszcie pana Mateusza do przytomności.

Pociąg się zatrzymał, pan Mateusz zrozpaczony poprzewracał cały wagon do góry nogami i przekonał się, że mu kuferek ukradł ktoś podczas jego snu. Ledwie zdążył wygramolić się z ruszającego już pociągu.

— Pod kiepską wróżbą rozpoczęła się moja podróż na nową posadę — myślał, oglądając się po stacyi.

— Ano, trudno — odrzekł głośno, splunął i poszedł na herbatę z rumem do poczekalni trzeciej klasy.

Nad wieczorem przybył do przespanego w południe miasta. Zanocował w jakimś zajeździe, niedaleko dworca.

Na drugi dzień wstał wcześnie. Po wypiciu herbaty, poszedł do golarza i, odświeżony, około południa odszukał z pomocą jakiegoś chłopaka „centralę".

W centrali panował ruch i gwar zgłaszających się stron nie do opisania.

Wędrując od biura do biura, znalazł się wreszcie u pana radcy.

Po złożeniu przepisanej przysięgi, wypłacono uradowanemu Mateuszowi pensyę wraz z dyetami za miesiąc, dano dokumenty i kazano mu jechać i zgłosić się w starostwie w miasteczku S.

Już miał opuszczać pan Mateusz biuro pana radcy, gdy przyszło mu na myśl, ażeby się spytać, na czem właściwie polega jego urzędowanie. Lecz, że pan radca był bardzo zajęty, zrezygnował więc z ciekawości.

— Grunt, że z góry płacą i to porządnie — pomyślał. — He, he, żeby tu była Barbara, cieszyłaby się nieboraczka... A jaki ten pan radca „inteligentny" człowiek, na aksamitnem krześle kazał siadać. Dobrze, żem miał chusteczkę ze sobą i podłożyłem nieznacznie, inaczej byłbym pewnie aksamit zawalał.

I poszedł uradowany pan Mateusz do wcale porządnej garkuchni na obiad. Po obiedzie kupił cygara, zakurzył i chodził po mieście, gapiąc się na wystawy sklepowe.

Lecz że znajomych nie miał tu żadnych, na stępnie nożyska już ledwie wlókł za sobą, a elektryka kilka razy chciała go przejechać, udał się na dworzec kolejowy.

Na dworcu nagryzmolił, jak mógł, kartkę do Basi, donosząc jej o pensyi, dyetach i miejscowości urzędowania (o zaginionym kuferku nic nie wspomniał).

Nocą unosił pociąg śpiącego pana Mateusza na miejsce przeznaczenia. Spał pan Mateusz spokojnie, będąc pewnym, że konduktor, któremu wsunął w rękę koronę, obudzi go, gdy pociąg stanie na miejscu.

Leżący wygodnie w wagonie na ławce pan Mateusz śnił o godnościach i zaszczytach. Widział siebie, siedzącego na aksamitnem karle pana radcy. Na biurku dwie zapalone świece, w środku krzyż, a za drzwiami wszyscy mieszkańcy z jego miasteczka zebrani, czekali na przysięgę. Przysięgali, a on wypłacał wszystkim pensye i dyety. — Sekretarzowi gminnemu odciągnął to, co mu przed dwudziestu laty dał „w łapę" za swoją posadę.

Burmistrzowi nie dał nic, twierdząc, że i tak ma zadużo zysków z miasta.

Szmulowi, który miał propinacyę i główną trafikę, kazał sobie posłać do domu likierów i cygar i byłby, Bóg wie, dokąd urzędował tak „sprawiedliwie", gdyby go konduktor nie obudził, mówiąc, iż pociąg jest już na miejscu.

Po przyjeździe zakropił się pan Mateusz dla nabrania animuszu przed objęciem „urzędu". Około południa zgłosił się do starostwa, ważąc w myśli, do czego też mogą go potrzebować.

Gdy znalazł się w obliczu odnośnego referenta, dobył dokumenty zza pazuchy, położył je na biurku i czekał na decyzyę.

— A, to pan? Bogu dzięki, że pan nareszcie przyjechał — rzekł referent, przeglądając dokumenty. — Proszę siadać!

Pan Mateusz usiadł skromnie na brzegu krzesełka i czekał...

— Gdzie pan zamieszkał? — zapytał referent.

— Jeszcze nigdzie — odrzekł skromnie pan Mateusz.

— Niechże pan sobie wyszuka jaką kwaterę w pobliżu starostwa. Następnie chcę prosić pana, by pan i mnie coś udzielił ze swojej wiedzy, bo, rozumie pan, że w czasie urzędowania pragnąłbym również czasem zabrać głos, a bez najmniejszego pojęcia jest to wprost niemożliwem.

— Rozumiem — odrzekł, pocąc się pan Mateusz.

— No, więc?...

— A o czem pan komisarz pragnie wiedzieć?

— No, naprzykład o gatunku, o rodzajach...

— O gatunkach, o urodzajach — bełkotał prawie nieprzytomny pan Mateusz — a niby czego?

— No, skór! Przecież pana przysłano tu jako rzeczoznawcę przy zajęciu skór przez państwo.

Piorun z jasnego nieba, gdyby był uderzył w poczciwego pana Mateusza, byłby nie zrobił takiego wrażenia, jak oświadczenie pana referenta.

— Niechże pan więc w streszczeniu objaśni mnie o gatunku skór.

— O gatunku skór?... — spytał, jąkając się, poczciwiec Mateusz.

— No, tak!

— Ano, są niby... różne skóry... farbowane... na czerwono, są też i niebieskie, czarne, żółte — bełkotał nieprzytomnie pan Mateusz.

— Są podobno rozmaitej wyprawy? — ciągnął dalej referent.

— A są — potwierdził pan Mateusz — są, na to mówiący, cienkie, są i grube, niby rozmaite skóry bywają — zakończył pan Mateusz.

— I cóż więcej pan wie o skórach? Proszę mnie fachowo objaśnić.

— Fachowo? Ano, niby różne są skóry. Naprzykład na zelówki, na przyszwy, są rzadkie, są i gęste... to wszystko zależy od bydlęcia i od wyprawy.

— Ależ, panie drogi, czy to cała pańska wiedza o skórach?

— Niby cała — wyrzekł, kręcąc się nieborak Mateusz na krześle.

— Przyznam się panu, że o tem, iż bywają skóry czerwone, niebieskie, czarne, grube, cienkie, to i ja wiem, ale mnie idzie o fachowe objaśnienie, czy dana skóra jest pierwszej sorty, czy drugiej. Rozumie pan?

— Rozumiem!

— Więc jeżeli pan rozumie, proszę mnie w tym kierunku objaśnić.

Pan Mateusz kręcił się jeszcze chwilę, wreszcie, ocierając pot z czoła kraciastą chustką, powstał wystraszony i rzekł:

— Przepraszam pana komisarza... zdaje mi się, że zaszła tu pomyłka. Wezwano mnie z domu do starostwa i nakazano, abym jechał do „centrali". Pojechałem tam, po złożonej przysiędze przed panem radcą, wypłacono mi za miesiąc pensyę i dodatki i odesłano tutaj.

— No, więc dotychczas wszystko w porządku, idzie tylko o to, czy pan zna się na skórach, czy nie?

— Przyznam się łaskawemu panu, że, niby... jak kupuję buty na jarmarku, to się orżnąć nie dam. Ale tak „specyalnie" na skórach, to się nie znam!

— Więc po jakiego dyabła pana tu przysłano? — rzekł zirytowany komisarz.

— Bo ja wiem — odrzekł Mateusz.

— Nie pytano pana w starostwie, lub w centrali, coś pan za jeden?

— Nie! Bóg mi świadkiem, że nie! — sumitował się pan Mateusz — Posłuszny rozkazowi naszego pana komisarza pojechałem do „centrali". Goście w kolei ukradli mi nowiusieńki kuferek z pradłem i jedzeniem. W „centrali" ludu coniemiara. Kazali mi przysięgnąć, pieniędzy dali i odesłali mnie tutaj. Moja Barbara miała węch, odrazu mówiła, że to musi być pomyłka.

— Czemże pan jesteś do stu dyabłów?

— Niby ja? — rzekł, powstając skromnie z krzesła, pan Mateusz.

— No pan, pan... W jakim dziale pan pracujesz?

— W dziale... cmentarnym, panie komisarzu! Jestem grabarzem!

— Grabarzem?! — rzekł komisarz, wybuchając śmiechem.

— Tu się niema z czego śmiać, panie komisarzu. Od dwudziestu lat już grzebię zmarłych na chwałę Bożą! — rzekł z namaszczeniem pan Mateusz.

— — — — — — — — — — — —

Poczciwemu panu Mateuszowi kazał komisarz zatrzymać się do dnia następnego. Mateusz z rozpaczy „zalał robaka", lamentując nad stratą kuferka z pradłem i jedzeniem:

— Na piętnaście papierków bym nie spojrzał — mówił do towarzyszącego mu w szynku miejscowego policyanta.

Po wymianie telegramów pomiędzy centralą i starostwem w miejscu zamieszkania pana Mateusza, okazało się, iż w telegraficznem żądaniu centrali: „przysłać natychmiast miejscowego garbarza", wurzędzie telegraficznym przestawiono litery i z „garbarza" zrobiono „grabarza".

— — — — — — — — — — — —

Pan Mateusz, ubrany odświętnie, w czarnej kapocie, w popielatych spodniach, kupionych po nieboszczyku stolarzu, fabrykancie trumien, późnym już wieczorem kroczył posępny ze stacyi kolejowej do swojej cmentarnej pustelni.

Szedł drogą, nie ścieżkami „na bliższe". Szedł i rozmyślał smętnie nad utratą kuferka, pradłem i jedzeniem. Nawet, gdy był już w swojej izdebce, która tym razem wydawała mu się piękniejsza, niż biuro samego pana radcy, nie mógł odzyskać równowagi. Dopiero po zjedzeniu wieczerzy, gdy zakropił się pan Mateusz „starą jałowcówką", a poczciwa Barbara, uspokajając go, rzekła:

— Iiż że stary, co się będziesz martwił, popijesz z sekretarzem gminnym, podwyższy ci taksę od nieboszczyków i cztery takie kuferki odbijesz — odzyskał nieborak humor, postanawiając do końca życia grzebać zmarłych na chwałę Bożą, lecz... za podwyższoną taksą.

Konrad Henryczewski.

Janek sierota

(Nowela).

J. Zieleniewskiemu.

Nad wsią rozszalała straszliwa burza.

Ustawiczne grzmoty armatnie przerywały ciszę potężną, poetyczną, napełniając całe powietrze ustawicznym hukiem i rykiem dymiących dział. Granaty i szrapnele padały, jak deszcz na ziemię, ryły ją swemi cielskami, szarpały niby zębami, wyrywały z niej całymi olbrzymimi płatami, niby pługiem, orną skibę, roznosząc na wszystkie strony pył i kurz, powstający z wirujących kęp czarnoziemu i gliny. W powietrzu, przesyconem dymem, ustawicznie żelazem i ołowiem plujących dział, unosiły się lekkie, jak gołębi puszek, drobniutkie, jak świętojańskie robaczki, nikłe, jak mgła, smugi delikatnego dymu. Powietrze było ciężkie, prawie że nie do zniesienia. A od czasu do czasu to białe od próchn i kurzawy powietrze kręciło się wirem, kołowało, drgało, biegło, pędzone, jakby jakąś siłą nadprzyrodzoną, płynąca wraz z pociskami — gdzieś, do jakiegoś celu, by tam rozszarpało napotkany przedmiot, zmieniło go w nicość, zostawiło tylko wspomnienie u tych, którzy pamiętali jego istnienie — ciężkie, przygniatające.

Bitwa ogarniała coraz to większe przestrzenie.

Zdawało się, jakby ziemia zmieniła się w piekło, tak płonęła cała jednem, wielkiem ogniskiem szału i dzikiego, nie znającego przeszkód, rozwydrzenia.

Ale na pozór zdawało się, że nic na tej ziemi, gdzie jeszcze wczoraj kwitnęły akacye, gdzie jeszcze wczoraj spokojny wieśniak kosił wybujałe siano, nie zaszło. Jak daleko tylko można było sięgnąć gołem okiem — widać było tylko pustkę szarą, pozbawioną rozmaitości. Gdzieniegdzie ostała się tylko mała kępka trawy lub krzaczek jakiś, ale i ten trzymał się ostatkiem sił swych, lada chwila zdawał się uledz straszliwej zagładzie, straszliwej mocy, która nie znała żadnej zapory, która druzgotała i łamała po drodze wszystko — ostawiała tylko nagą, szarą, jednostajną ziemię.

Szeregi wyjących i syczących przeraźliwie granatów i szrapneli zasypywało wioskę, skazaną już na zdruzgotanie i spalenie. Co chwila błyskał ogień, co chwila jaśniały drgające, białe dymki, które z przeciągłym, potężnym jękiem spadały na dachy lepianek, stodół i obór, które syczały i skarżyły się na swe nieszczęście, gdy czerwone ognia języki ogarniały je na coraz obszerniejszej, większej przestrzeni. Co chwilę wielkie snopy iskier wylatywały w powietrze, a swąd palącego się drzewa łączył się z odorem siarki i wybuchającego prochu.

Wczoraj jeszcze wieś żyła, oddychała niczem nieskażonem, czystem powietrzem, cieszyła się swą pięknością, była spokojną, pewną swego istnienia. Wczoraj nad tą wioską wschodziło i zachodziło jasne, płomieniem szczęścia drgające słońce wolności, wczoraj ta wioska ludna pełną była gwaru i radości.

A dziś?

A teraz?

Teraz z niej pozostały tylko popioły i zgliszcza, a i te z każdą chwilą mocniej zrywający się i dmący wicher rozwiewał i roznosił po okolicy, oczyszczając nawet z tych resztek, z tej garstki świętych relikwii, tę krwią i łzami zalaną ziemię.

Wielkie ognisko powoli dopalało się.

Czego nie ogarnął wielki płomień, ogarnęły kule, siejąc wszędzie drugie, okropne zniszczenie.

Na niewielkim wzgórku stał ongi mały błyszczący kościółek.

Był chlubą wieśniaków, bo wystawiony ich własnym „potem", ich własną pracą, zdawał się być wiecznym.

Lecz przestał nim być od chwili, gdy nad wsią poczęły rozpryskiwać się ogniste strzały. Jego ściany drżały od ciągłego łomotu i huku, trzęsły się, jak liście okolicznych drzew, wczoraj jeszcze cicho siedzących po łąkach i pastwiskach. Wszystkie chałupy runęły w pył, lecz kościół trwał.

Trwał, jako jedyna pamiątka minionych złotych chwil, trwał, jako jedyny pozostały strój, pozostały opiekun leżącej u jego stóp garstki popiołów. Złocisty krzyż, niby wiankiem otaczał proch i gruz, złocisty krzyż płonął nadziemskim blaskiem, głosząc potęgę i chwałę tego, co się ostało z tej pożogi i pomoru — wiary.

Lecz i nań przyszedł ciężki kres.

Jak ciało owcy zgłodniały, zdziczały wilk rozszarpuje z głodu swymi białymi, ostrymi kłami, tak zgłodniały, syczący pocisk targać począł swem cielskiem i szarpać opornie stojące, jasne, pobielane ściany. I waliły się i one powoli i rozsypywały w kurzawę, póki z całej świątyni nie zostało nic — prócz ołtarza głównego i sterczącego ponad nim, jaśniejącego krzyża. I stał tak ten szkielet, ta mara, świecąca swymi nagimi członkami na pośmiechowisko i szyderstwo. A jasne słońca promienie padały na bolesną twarz Chrystusową, która przyoblekała się bardziej jeszcze smutkiem i żalem, okryła kroplami i perłami łez, niźli ją wykonał artysta.

I już się go zdawały nie imać kule, może nawet stronić od tego kościotrupa, bo stał nietknięty i świecił pustką i zniszczeniem

I tak wymarła wieś.

Zniknęły domostwa, bo rozpłynęły się w nicość — zniknęli ludzie, bo bali się śmierci. Ostała się naga ziemia, naga mogiła, a z niej sterczący gród — ołtarz i promieniejący krzyż.

A jednak znalazła się istota drobna, nikła, która stała na posterunku. Zasypana walącym się murem, spalona promieniami słońca — wytrwała. Ona jedna zdawała się naprawdę kochać tę rodzinną wieś, bo, jak pies, przywiązana ślepo do tej ojczystej niwy, jak matka do swych dzieci — wytrwała. Nic jej nie wzruszyło. Ni pioruny, ni deszcze spadających kul, ni żar słoneczny — nic.

Twarzyczkę miała małą, subtelną, wdziękiem dzieciństwa okraszoną, łzami boleści zalaną, drżącą; oczęta duże, niebieskie, w cudnej oprawie żarzyły się, jak ślepia wilka, lub kota, rozszerzając się, to znowu zwężając. Blask bił od nich różowy, jak te słońca promienie, zalewał białą powłokę sterczącej ściany kościoła, dodawał jej uroku i nadziemskiego piękna.

Tą skuloną, biedną istotką był — Janek, sierota.

Wczoraj jeszcze pasał spokojnie swe gąski na zielonej runi, przypatrywał się wesoło igrającym źrebcom, rzucał w swe stadko kamykami, potem cieszył się, jak przerażone rozbiegało się i napędzał je z krzykiem na pastwisko. Służył u swego stryjka za pastucha; nie mógł się skarżyć na niego, bo stryj obchodził się z nim po ojcowsku, dawał mu jeść, a bił rzadko. Janek był traktowany w jego domu jako własne dziecię. Nie był pieszczony, ale i nie mordowany i pracą obarczony. Stryj miał wzgląd na malca, bo on był przecież sierotą! Ojciec mu zmarł przed rokiem, w sześć miesięcy po nim wyprowadzono na mogiłki matkę! Janek ostał się sam. Żył wspomnieniami, widywał swą ukochaną matusię we śnie, wtedy zrywał się, chciał do niej biedz i z bólem przekonywał się, że to był sen. Onby chciał był tam iść, tam do „Bozi", jak mawiał, bo tam była jego ukochana matusieńka, która go, nieszczęsnego, przedwcześnie opuściła, by tu marnie zginął, by nad jego zwłokami nawet kruk nie zakrakał, nawet pies nie zawył. On ją tak kochał! Bywało, że nocą wymykał się z izby i biegł na mogiłki i tam siedział godzinami, całował grób matki i ojca, płakał rzewnemi łzami, rosząc zimną glinę obficie łzami bólu, żalu i tęsknoty. Nieraz była burza, wicher dął okropnie, wywracał krzyże, łamał wierzby i krzewy, odwalał kamienie, roznosił popioły święte, a biedny Janek siedział u grobu matki i patrzał szklistemi oczyma w przestrzeń i w szalonych wirach wiatru widywał widmo swej matusi, uśmiechał się do niej smętnie, łzawo. A wtedy nieubłagany wiatr rozwiewał jego koszulinę, wpadał mu na nagie ciałko, mroził je, ściągał chorobę na młode piersi. Nad ranem wracał przemoczony, kaszlący, zziębnięty, ale wesoły, bo — widział matusię. Jej obraz wyrył się w tej duszy na wieki. Ona go wykarmiła, gdy był niemowlęciem, ona go pieściła i całowała, gdy uczył się Pańskiej modlitwy, gdy kładł się wieczorem spać. Jej usta mówiły te słowa dobroci, łagodności i miłości — one całowały jego usteczka ko ralowe. Niejednokrotnie jej prośby ocaliły małego Janka od chłosty, od głodu i kary — i jakże mógł nie pamiętać tej matuli? Gdy wiosna nadeszła, nosił na grób kwiaty, rozsypywał je po czarnej ziemi, całował sterczący krzyżyk i czasem grywał na fujarce — matusi. Słowiki przestawały śpiewać, żaby rechotać, panowała cisza, tylko Janek grał na swym zaczarowanym instrumencie dla matusi na podzwonne.

Ale życie płynęło.

Janek gęsi pasał, nocami biegał na mogiłki, grał i płakał.

Jeszcze wczoraj tak było.

Dziś nie było cmentarza, nie było wsi — było pole i pole i pole.

Dziś sterczała tylko jedna jedyna połać kościółka.

Biedny Janek rankiem, gdy działa się odezwały ponurym hukiem, zerwał się ze siennika, przetarł oczy i rozglądnął się naokoło.

Nie było nikogo.

Chata była otwartą, wiatr tylko szumiał chwilami za maleńkimi szybkami, przynosząc ze sobą niedźwiedzie pomruki dział.

Dla Janka to było dziwnem.

Onegdaj nikt mu przecież nie mówił, że ma uciekać — bo prawdopodobnie, jak sobie wyobrażał w swym dziecięcym rozumie, stryj z żoną i dziećmi uciekł — ale gdzie, dlaczego, tego nie mógł pojąć. Skierował tedy swe kroki ku drzwiom i — stanął jak wryty. Ujrzał całą grozę bitwy w pełni okropności i strasznego ogromu. O wojnie nie słyszał nic, prócz kilku słów z ust sąsiadów, jak szedł paść gęsi. Nie mógł wiedzieć, co się to dzieje, bo widział raz pierwszy coś podobnego, coś tak niebywałego. Więc drżał na całem ciele ze strachu, aż wreszcie porwał się i wybiegł. Dokąd? Nie wiedział. Chciał biedz do sąsiadów — wpadł do chałupy — pustka, wbiegł do drugiej — pustka — wszędzie pusto i pusto. Wtedy wybuchnął płaczem nagłym, spazmatycznym, niestłumionym.

Tymczasem pociski zaczęły padać na chałupy coraz częściej, gęściej. Wtedy instynktownie zrozumiał, że, jeśli tu zostanie, to zginie wraz ze wsią, to zemrze marną śmiercią. Więc porwał się i począł biedz. Widział, jak się chałupy waliły, jak płonęły szopy i wpadłszy do kościółka, runął na zimną posadzkę. Jak długo kościół nie był zarzucony pociskami, krył się w nim. Ale i ten począł się walić — więc skrył się za ścianę wschodnią kościółka, przycupnął jak zając, skulił się i — czekał.

Bitwa trwała.

Janek teraz dopiero zrozumiał grozę swego położenia. Był sam w całej wsi — on, mały, wątły, słaby. Cóż mógł zrobić teraz? Gdzie miał się udać? Czuł, że położenie jego było bez wyjścia. Wtedy żal mu ścisnął serce, że taki samotny, skazany jest na śmierć pewną i począł sobie rozważać, czemu też go nie zbudził stryj, jak uciekali. Czyż-by im było obojętnem jego życie? Czyżby im było obojętnem jego ocalenie? Chyba nie. Przecież on im nie zawadzał, on chciał ich kochać, jak kochał rodziców, lecz cóż winien, że jakoś serce jego nie mogło pokochać stryjostwa, którzy, choć dlań byli dobrzy, nie mogli nigdy zastąpić ni matki, ni ojca. Chyba nie za to go opuścili. A może było to przez zapomnienie? Może w panicznej trwodze zapomnieli o śpiącym Janku i zostawili go na pastwę przeznaczenia? On nie widział przecież tej chwili, gdy wieś się cała porwała na nogi i uciekała w trwodze i żalu za rzuconemi ojczystemi chatami, łanami, polami!

To pewnie był przypadek.

I serce mu się wzdrygało na myśl, że śmiał tak niecnie posądzić stryja, bo dobry to był chłopczyna, ten biedny sierota Janek.

Żal go ogarnął i tęsknota — chciałby teraz biedz do matuli na skargę, na biadanie, lecz jakże tu można było w takiej zawierusze żywiołów wychylić głowę?

Nie sposób.

Więc w duchu tylko łączył się z matuchną, kwilił jej do ucha skargą, płakał żalem, jęczał biadaniem.

Minęło południe.

Janek siedział ciągle skulony — bał się ruszyć.

Ale powoli pragnienie zaczęło mu doskwierać, poczęło mu palić wnętrzności, rozogniać je. Uczuł, że, gdyby teraz miał choć kroplę wody, mógłby wytrwać do jutra. Ale tu nigdzie jej nie było.

Słońce grzało potężnie, jakby nie czuło tej męczarni biednego chłopca. Zdawało się, że chce mu wypalić wnętrzności swem gorącem i żarem.

Oddech Janka stał się ciężki, równał się jakimś urywkowym chrapaniom. Usta miał spieczone, prawie, że czarne — oczy tylko rzucały blask.

A bitwa trwała.

Wreszcie zdecydował się iść — po wodę.

Uchwycił swe wpadnięte piersi ręką i począł się czołgać.

Kule padały gęsto — zdawało się, że to grad z jasnego nieba.

A Janek się wlókł.

Jego oczy rzucały błyski naokoło, dawał się już widzieć upragniony cel przed oczyma, błyszczała mu jasna struga tysiącem kolorów, jaśniutka jak złoto, lub perły w słońcu.

— Już niedaleko, już.. — szeptały spieczone wargi.

A oczy wpatrzyły się w płynący potoczek.

Wtem wstrzymał się, przerażony niespodzianem zjawiskiem.

Niedaleko białych, przeźroczystych fal wisząc się wody leżał człowiek.

Głowa krwią ociekała, oczy były w słup obrócone, okropne, straszne. Włosy, polepione potem i ciepłą krwią, zdawały się okrywać jedną, potężną ranę.

Na piersiach miał poplamioną posoką koszulę stwardniałą, prawie, że czarną, a pod nią w słońca promieniach błyszczał medalik Matki Boskiej.

Ranny zemdlał.

Strumienie wypływającej z otwartej rany krwi osłabiły jego organizm.

Był wyczerpany walką o życie.

Oczy powoli poczęły osnuwać się mgłą, blednąć, aż całkiem się zamknęły.

I ciemność ogarnęła ranionego śmiertelnie.

Jankowi serce biło jak młotem za koszuliną.

Takiego męczeństwa nie widział jeszcze — sądził, że nie na to stworzeni są ludzie, by tak bardzo cierpieli. Inaczej wyobrażał sobie to życie i in nem ono mu się też przedstawiało. Przedstawiał je sobie, jako jakąś rusałkę leśną, otuloną rozlicznem kwieciem, promieniejącą radością i weselem, śmiejącą się, swawolącą, a ujrzał nagą prawdę: ujrzał ciernie i kolce, krew i ból, rany i walkę o życie i śmierć.

To małe dziecko, które nie znało przecież jeszcze prawie zupełnie życia, poznało je teraz, nie w ra dości, lecz bólu, nie w zabawie, lecz męce.

Tak, takiem było życie.

Janek już pojął jego znaczenie i wartość — zrozumiał swym dziecięcym rozumem jego urok i piękno.

Zapomniał o własnem pragnieniu — teraz tylko myślał nad ulżeniem temu biedakowi. Czuł, że, gdy mu wyświadczy, choćby jakąś drobną przysługę, spełni miłosierny, chrześcijański uczynek — zrobi tak, jak go uczyła nieboszczka matula.

Więc zebrał ostatek swych nadwątlonych sił i posunął się chyłkiem ku strumieniowi, zaczerpnął rękoma wody i przyniósł rannemu. Domyślał się, że woda mu ulży i przyniósł...

Otworzył oczy.

Nie widział nikogo, a tylko zbielałe usta wyszeptały ledwo dosłyszalnym głosem:

— Wody!

Janek się zerwał.

Ucieszyło to sierotkę, że przecież na coś mu się zdał i skoczył raz wtóry.

Ranny rozglądnął się.

Jego szare oczy spojrzały na Janka.

— Dziękuję. — wyszeptały wargi raz wtóry.

Janek stał zarumieniony.

Po chwili ranny ruszył ręką, jakby chciał przyzwać do się Janka, ale ten już się nad nim pochylił.

— Dziecko — mówił ranny, zmuszając się siłą woli do wypowiedzenia życzeń swych — idź tam... do moich... powiedz.. że... to... odemnie... dla... dla mmaatki...

I ręce wychudłe wskazały błyszczący medalik.

Janek, drżąc, zdjął go z szyi rannego i pobiegł.

Biegł szybko, chciał być jak najdalej od tego strasznego człowieka, który tam teraz charczał i konał...

— I on o matce myślał i on — rzekł sobie w duchu Janek.

I biegł.

Z czasem musiał zwolnić kroku, bo kule znów gęsto padały.

Janek pomyślał sobie, ile też ten nieszczęśliwy musiał przecierpieć, skoro z miejsca walki, aż tam się dowlókł. Więc postanowił sobie spełnić prośbę ostatnią umierającego i... biegł.

Biegł poprzez grad i deszcz kul, poprzez wichurę i nawałnicę szrapneli i granatów. — Czasem wstrzymywał się, aby zaczerpnąć powietrza, czasem padał z trudu na ziemię, ale zawsze się podnosił, zawsze pędził dalej. Pchało go coś, pchała go jakaś siła zaświatowa, potężna, jak wicher, co łamie i druzgota, co napotka, dla którego niemasz przeszkód, dla którego otworem cały świat.

Więc gnał.

Nagle uczuł, że go coś, jakby zadrasło w skroń. Sięgnął ręką i dotknął palcami — ociekały krwią. Uśmiechnął się boleśnie i biegł dalej.

Ale draśnięcia zdarzały się coraz częściej, aż nagle uczuł, że coś go ciągnie ku ziemi, uczuł taką ochotę do odpoczynku, że usiadł na ziemi.

Dotknął się palcami twarzy — była krwawą.

Noga go rwała okropnie, jakby go ktoś ogniem prażył.

Spojrzał na nią — kość była odkrytą, nagą, a kawały mięsa zwisały z niej, jakby z zarżniętego wołu.

Czuł się mocno osłabionym.

Chciałby się bardzo teraz położyć, zasnąć i spać, spać, spać...

Lecz w tejże samej chwili stanął mu przed oczyma ów ranny...

On tak go prosił, zaklinał, śmiałżeby on, Janek-sierota, odmówić?

Więc ostatkiem sił zerwał się, trzymając w rękach medalik, lecz w tejże samej chwili padł na ziemię.

Kula ugodziła go w piersi.

Zlała się krwią dziecięcą ziemia, zlała się, a ona wsiąkła w orną glebę, aby świadczyć o wielkim czynie dziecka bohatera.

— — — — — — — — — — — —

Strzały umilkły, bitwa się skończyła.

Słońce krwawym blaskiem zachodziło, a jego jasne promienie ostatnie oświetlały pobojowisko.

Niby kwiaty lilii wśród maków, ukazały się wśród rannych siostry miłosierdzia niosąc pociechę i ratunek łaknącym i żądnym go.

Za niemi szedł lekarz i niosący nosze sanitaryusze.

Rannych było mnóstwo. Lekarz omdlewał z pracy.

Wieczorna łuna gasła.

Zmęczeni ludzie wracali z pobojowiska. Siostry miłosierdzia szeptały cichą modlitwę.

Wtem lekarz stanął, pochylił się i zdumiał.

U jego stóp leżało dziecko dziesięcioletnie.

Gdy spojrzał na jego bladą twarzyczkę, wydało mu się, że rozświetlił ją uśmiech.

Rozszarpał mu koszulinę, nachylił się i usłyszał szept:

— Ja... także... miałem... matuchnę... ja... ją... bardzo...

I skonał.

To wielkie, choć młode, to szlachetne serce bić przestało, a duch uleciał do ukochanej matuchny.

KONIEC.

Ustąpienie komendanta placu Legionów polskich w Krakowie.

Komendant tutejszej komendy placu polskich Legionów, kapitan St. Krzaczyński, rozporządzeniem ministerstwa obrony krajowej został zwolniony z dotychczasowego stanowiska i powołany do Warszawy, do głównej komendy Legionów.

Kapitan Krzaczyński sprawował w Krakowie kierownictwo stacyi zborczej i komendy placu od przeszło pół roku, po przybyciu ze Lwowa, gdzie pełnił te same obowiązki od czasu podleczenia się z ciężkich ran, odniesionych w kampanii karpackiej, w bitwie pod Sołotwiną. W Krakowie, posiadając pełne zaufanie i oddanie się swoich podwładnych i żołnierzy, a jako reprezentant Legionów, na trudnem stanowisku, stojąc zawsze na straży godności i honoru żołnierza polskiego, zdobył sobie pełne uznanie i powszechny szacunek. Serdecznym wyrazem tego uznania ze strony kół miejscowych był adres, wręczony ustępującemu komendantowi, opatrzony w podpisy członków prezydyum N. K. N., krajowego zarządu głównego Ligi kobiet, oraz szeregu wybitnych działaczy i obywateli, a będący



Ustąpienie komendanta placu Legionów polskich w Krakowie: Ustępujący komendant, kapitan St. Krzaczyński, w gronie Legionistów na stacyi zborczej w Krakowie



Ustąpienie komendanta placu Legionów polskich w Krakowie: Pożegnanie kapitana Krzaczyńskiego w schronisku dla Legionistów przy ul. św. Tomasza

skromnym tylko przejawem uczuć społeczeństwa. Poza tem brygadyer Piłsudski przesłał kapitanowi Krzaczyńskiemu swój portret z własnoręcznym podpisem.

Z życia Legionów w Królestwie Polskiem.

Sale „Gospody Wojsk Polskich“ w Końskich ożywiły się w ubiegłą niedzielę niezwykłym wyglądem. Wśród powodzi kwiatów i liścia, wspomniany lokal przedstawiał bardzo sympatyczne wrażenie. W zastępstwie nieobecnego w Końskich proboszcza, poświęcenia lokalu dokonał ks. wikary Głodo, poczem w słowach serdecznych wygłosił okolicznościową przemowę. Imieniem żołnierzy wojsk polskich, przydzielonych do werbunku w tamtejszym obwodzie, przemówił w słowach płomiennych chorąży wojsk polskich, p. Jan Dąbrowski, podnosząc w pierwszej linii zasługę „Komitetu popierania wojsk polskich“, za którego to impulsem powstała dzisiejsza „Gospoda“ dla żołnierza polskiego.



Ustąpienie komendanta placu Legionów polskich w Krakowie: Kapitan Stan. Krzaczyński.

Z przybyłych na uroczystość powyższą gości zauważono burmistrza m. Końskich z żoną, hr. Juliuszową Tarnowską, delegacye „Lutni“, „Macierzy Szkolnej“ i t. d., następnie dyrektora gimnazyum p. Wiszniewskiego, wł. liceum żeńskiego p. Juszczakiewiczową, dra Horaka, sędziego Staszewskiego, sekretarza Długosza, weterana-oficera z 1863 roku, p. L. Kosińskiego, jakoteż niemałe grono osób z inteligencyi miejscowej i zamiejscowej. Pisemne gratulacye złożyli: komendant obwodu koneckiego, pułkownik v. Giller, starosta miejscowy, „Grupa pracy narodowej“ i „Straż ogniowa“.

Podczas przyjęcia gości, chór Legionistów pod kierunkiem St. Gralewskiego odśpiewał szereg wesołych legionowych pieśni, poczem i zgromadzeni goście wraz z żołnierzami wojsk polskich śpiewali razem polowe piosenki. Chwilę powyższą wspomnianej uroczystości utrwalono wspólną fotografią.

Prezes N. K. N. obywatelem honorowym Nowego Sącza.

Rada miasta Nowego Sącza w uznaniu zasług prezesa Naczelnego Komitetu Narodowego, profesora Leopolda Jaworskiego mianowała go na posiedzeniu w dniu 22-go marca obywatelem honorowym. — Dyplom honorowego obywatela, wykonany przez znanego artystę prof. Bukowskiego, wręczono prof. Jaworskiemu w pięknej, ozdobionej haftem złotym i ametystami tece, którą projektował również prof. Bukowski.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy fotografię artystycznie wykonanego dyplomu i ozdobnej teki.



Prezes N. K. N. — obywatelem honorowym Nowego Sącza: Dyplom honorowego obywatela m. Nowego Sącza dla prof. Leopolda Jaworskiego, wykonany przez prof. Bukowskiego.



Z życia Legionów w Królestwie Polskiem: Poświęcenie gospody Legionistów w Końskich. Grupa uczestników uroczystości.





Sport w Legionach: (Fot. St. Wojtyga).

Widzowie na matchu footbalowym Legionistów i akademików warszawskich.
(X) Brygadyer Piłsudski.

Drużyna footbalowa 5. p. p. Legionów polskich na boisku w „Agrikoli" w Warszawie.
(W środku organizator klubu, porucznik Gluth z Krakowa).

Sport w Legionach.

Legioniści, którzy w ubiegłym sezonie doprowadzili do doskonałości sport piłki nożnej u siebie, podjęli obecnej wiosny treningi, licząc się z tem, że warunki pozwolą im zmierzyć się także z drużynami Królestwa.

Najpowszechniej znane, jeszcze z zawodów na froncie, kiedy odbywały się matche niejednokrotnie w ogniu nieprzyjacielskiej artyleryi, były drużyny 1, 4, 7. p. p. oraz drużyny artyleryi i 2 p. ułanów.

Wszystkie te drużyny posiadały graczy przeważnie z galicyjskich kół sportowych, które w ostatnich latach cieszyły się dużą sławą. Wojna skupiła niemal wszystkich graczy znanych klubów sportowych („Wisły", „Cracovii", „Czarnych" i „Pogoni", oraz wielu innych drużyn, w szeregach legionowych.

Dość wcześnie jak na późną wiosnę, otworzyli sezon „Zuchowaci", drużyna sportowa 5 pp. która dawniej dość słaba, obecnie po przyłączeniu V. batalionu z b. 7. pp. I. Br. przedstawia się wprost imponująco.

To też nie dziw, że zawody rozegrane w Warszawie dnia 9. i 10 kwietnia, w Swięta Wielkiej Nocy, z pierwszorzędnemi drużynami stolicy, skończyły się porażką tych ostatnich.

Dzień pierwszy (Drużyna 5 pp. z Reprezentacyą Akademików warszawskich) przyniósł wynik 4 : 1, dzień następny (Druż. 5 pp. z „I. Polonią", Warszawskiego Koła Sportowego) 2 : 0, na korzyść 5 pp.

Gdy się zważy, że drużyna Legionistów grała dwa dni z rzędu bez żadnych prawie uprzednich treningów, na które nie pozwalały warunki atmosferyczne, oraz brak odpowiedniego boiska, następnie, że „I. Polonia" warszawska jest najsilniejszą drużyną footbalową w Królestwie — to mamy dostateczny obraz technicznego wyszkolenia drużyny 5 pp. Obydwie gry, prowadzone w nadzwyczaj żywem tempie, nastręczyły licznie zebranej publiczności, wśród której znajdował się komendant Piłsudski i wiele wysokich osobistości — wiele interesujących momentów. Warszawiakom przewyższającym „Zuchowatych" szybkim biegiem, przeciwstawili ci ostatni wprost zawodową technikę, zgranie i oryentacyę.



Prezes N. K. N. — obywatelem honorowym Nowego Sącza: Ozdobna teka na dyplom honorowego obywatela m. Nowego Sącza dla prof. L. Jaworskiego.

Rzecz znamienna, że na obydwóch zawodach w parku sportowym „Agricoli" znalazła się niebywała tam dotychczas liczba publiczności, która z łatwo zrozumiałem, olbrzymiem zajęciem śledziła przebieg walki dwu swoich ulubieńców — studentów i Legionistów. Gra prowadzoną była w niezwykle subtelnie i łagodnie, nie dając żadnych brutalnych momentów, co licznie zebrana publiczność i późniejsze recenzye wszystkich gazet warszawskich podnosiły. Po zakończeniu gry, gdy komendant Piłsudski dziękował obu drużynom, publiczność i licznie zebrani Legioniści urządzili mu burzliwą owacyę.

Jak się dowiadujemy, już są zamówione na cały szereg niedziel zawody wszystkich drużyn legionowych z Warszawą.

Jest nadzieja, że sport piłki nożnej, któremu tak mało dotychczas poświęcała stolica uwagi, wzbudzi dzięki Legionistom, większe zainteresowanie i rozwinie cały szereg pierwszorzędnych drużyn.

Zgon powstańca.

Przerzedzają się szeregi bohaterów walki o wolność 1863 roku. W tych dniach zmarł w Końskich ś. p. St. Smerdzyński, weteran wojsk polskich 63 r.

S. p. Stefan Smerdzyński, który był postacią ogólnie szanowaną w Końskich, brał udział w bitwach pod dowództwem Jeziorańskiego i jakkolwiek niejednokrotnie ranny, wstępował znowu do szeregów, by dalej walczyć o wolność. Po wypadkach 63 r. osiadł w Końskich, gdzie aż do końca życia pozostawał. Wyrazem szacunku, jakiego zażywał, zgromadzone były tłumy, na smutnym obrzędzie pogrzebowym.

Kondukt ze zwłokami otwierał honorowy pluton żołnierzy wojsk polskich pod komendą plut. Zbroińskiego, za którym postępowała straż pożarna pod komendą p. Olkuskiego, Komitet Popierania Wojsk





Sport w Legionach: (Fot. St. Wojtyga).

Match footbalowy między drużyną sportową 5 p. p. a drużyną reprezentacyjną uniwersytetu i politechniki warszawskiej na boisku w „Agrikoli".

Drużyna 5. p. p. Legionów polskich (biali) z reprezentacyą akademików warszawskich (czarni). Na lewo sędzia z Warszawy, p. H. Jeziorowski, znany sportsman.

Polskich „in corpore", następnie „Liga Kobiet P. W." i Grupa pracy narodowej. Trumnę weterana w otoczeniu płonących pochodni nieśli żołnierze wojsk polskich. Za trumną z ramienia wojskowości postępowali p. M. Markowski, komisarz werbunkowy wojsk polskich, i p. St Gralewski, zastępca komisarza.





Zgon powstańca: Kondukt pogrzebowy ze zwłokami weterana 63 r. ś. p. Stefana Smerdzyńskiego. Przemówienie Legionisty Gralewskiego nad grobem ś p. Stefana Smerdzyńskiego w Końskich.

Po odprawieniu egzekwii wypowiedział nad grobem podniosłą mowę ks prałat Chojko. Wśród ogólnej ciszy przemówił następnie leg. St. Gralewski, podnosząc zasługi zmarłego bohatera i wskazując, że gdy jedni weterani schodzą na spoczynek, nowe zastępy żołnierza polskiego stanęły znowu do boju, aby wywalczyć wolność i niepodległość Polski. Po oddaniu honorów przez żołnierzy wojsk polskich i po złożeniu wieńców od towarzyszów broni, jakoteż „Ligi Kobiet", zakończono smutny obrzęd pogrzebowy.

Wojska rosyjskie za pokojem.

Żołnierze rosyjscy mają dosyć wojny i pragną pokoju. Swiadczą o tem różne wiadomości, które nadchodzą z Rosyi.

Niezwykle ciekawe szczegóły o uczuciach żołnierzy rosyjskich na froncie podaje zamieszczony w „Prawdzie" list jednego z naszych żołnierzy, pełniącego służbę na froncie wschodnim. List ten w krótkich, prawdziwie po żołniersku skreślonych słowach, daje pojęcie, czego pragną żołnierze rosyjscy i jaki duch panuje wśród nich. O dalszej wojnie nie chcą nawet słyszeć.

W liście tym, pisanym do rodziny, czytamy:

„Teraz opiszę Wam w skróceniu, co się tu działo przed paru dniami, a co jest wprost trudne do uwierzenia

W ruską Wielką Niedzielę wypadła mi służba w „szwarmlinii" i dopóki żyć będę, nie zapomnę tego, co wtedy widziałem i słyszałem.

Wychodzę w niedzielę na mój „beobachtungspunkt" (punkt obserwacyjny), patrzę i widzę, jak Moskale wychodzą ze swoich rowów. Już miałem alarmować baterye do strzelania, bo w pierwszej chwili myślałem, że idą do szturmu. Ale przypatrzywszy się lepiej, spostrzegłem, że Moskale idą bez broni, a zamiast niej niosą chleb, bułki, kiełbasy i pisanki. Wtenczas i my powychodzili z rowów i nastąpiło powitanie i życzenie sobie nawzajem wszystkiego najlepszego, a przedewszystkiem jak najprędszego zakończenia wojny. I opowiadali dziwy, co się u nich dzieje. Mówili, że cara zamknęli do żelaznej klatki, a teraz mają republikę i wolność i że posłali z każdej kompanii przedstawicieli do nowego rządu, aby oświadczyli, że chcą jak najszybszego ukończenia wojny.

Oficerów swoich nie słuchają wcale, bo prawie żaden się nie pokazuje, tak się boją własnych żołnierzy. Tylko, jeżeli chcą wydać jakieś rozkazy, to wołają jednego zaufanego infanterzystę i do niego mówią, a on przemawia do żołnierzy. Jeżeli żołnierze się zgodzą, to dobrze, a jeżeli nie, to drugie dobrze. Ci żołnierze, z którymi mówiliśmy, przyjechali dopiero przed czterema dniami — otóż opowiadali, że w Kijowie i na wszystkich stacyach wołają o pokój.

Ta gościna i opowiadania trwały od piątej rano do samego wieczora. Pogoda była śliczna, a nasi oficerowie fotografowali nas. Prosili nas Moskale, żebyśmy im na pamiątkę dali „feldpostkartki", a oni dawali nam swoje.

Na drugi dzień, to jest w poniedziałek, przyszło ich kilku do naszych drucianych przeszkód i powiedzieli nam, ażeby się nie pokazywać, bo będą strzelać, taki bowiem dostali rozkaz, ale, choć który będzie strzelał. to tylko do góry. Opowiadali nam, że ich oficerowie pytali się ich, czy chcą szturmu, ale oni odpowiedzieli, że chcą pokoju, nie szturmu, że już dosyć krwi popłynęło".



Wojska rosyjskie za pokojem: Wizyta rosyjskich oficerów.

Smierć na polu chwały.

Dnia 26. marca, w bitwie pod Gazą, na froncie synajskim, poległ bohaterską śmiercią ś. p. Władysław Drogosław Truszkowski, Lwowianin, syn ś. p. Feliksa i Franciszki z Gärtnerów Truszkowskich,



Smierć na polu chwały: Ś. p. Władysław Drogosław Truszkowski, kapitan artylei yi.

c. i k. kapitan artyleryi, komendant dywizyi haubic górskich, przydzielonej do armii tureckiej, odznaczony wysokimi orderami austryackimi, nadto krzyżem niemiemieckim, półksiężycem tureckim i krzyżem komandorskim Grobu Swiętego.

Zwłoki swego ukochanego i wielce cenionego komendanta, przyjaciela i opiekuna przewieźli oficerowie i żołnierze z grobu na polu bitwy do Jerozolimy i tam je w głębokim żalu ze czcią na górze Sion na wieczny spoczynek złożyli.

Cześć poległemu w dali od Ojczyzny Polakowi-bohaterowi!

A. K. Green

Zbrodnia w „Białym Domku"

Tłumaczyła: Marya Segeny.

14

Każdy zapytywał w duchu, co uczyni sąd w sytuacyi tak niezwykłej i drażliwej. Może rozprawa raz jeszcze zawieszoną zostanie, lub też sprawa rozstrzygnie się zaraz? Ale w takim razie los Cyryla Morgan był poważnie zagrożony.

Odpychając jedyną deskę ratunku, której się uchwycił, oskarżony ryzykował wiele. Wszelkie wątpliwości, zalegające umysły sędziów, stać się teraz mogły prawdą niezbitą i nieodwołalną. Cyryl Morgan wykazał obecnie błędność argumentu, na którym opierała się obrona. A oprócz tego jednego, nie było żadnych innych. Jeżeli był niewinnym, to dlaczego chciał się posłużyć takim wykrętem? Sam fakt ten czynił go już winnym zbrodni.

Takie były myśli, którym oddawali się obecni, podczas kiedy woźni napróżno przywoływali do porządku, a pan Ewans porozumiewał się pocichu z prokuratorem i obrońcą Cyryla Morgan.

Wkrótce prezydent oznajmił odłożenie rozprawy do dnia następnego. Beatrycza Darnell, widząc, że oskarżonego odprowadzają dwaj dozorcy z powrotem do więzienia, zbladła silnie i przerażonym wzrokiem spojrzała na pana Ferris. Spotkał ją gorzki zawód. Liczyła, że zeznanie jej wpłynie na natychmiastowe uwolnienie Cyryla Morgan. Tymczasem sytuacya dla niego pozostała tą samą, a kto wie nawet, czy nie niebezpieczniejszą. Wyszła ze sali rozpraw krokiem chwiejnym, nie zdając sobie sprawy z tego, co się wokoło niej działo.

— Więc nie pomogło — szeptała rozpaczliwie, idąc bezmyślnie przed siebie. — Pogorszyłam tylko jego sprawę, zamiast go wyratować! On mi tego nigdy nie przebaczy.

Za i przeciw.

W kilkanaście minut później pan Ferris, Byrd i Hickory zebrali się w gabinecie prokuratora.

— Musimy powziąć poważne postanowienie — oznajmił z punktu pan Ferris, zwracając się do swoich podwładnych. — Ale musicie mi panowie w tem dopomódz.

— Służę panu prokuratorowi — odparł ciekawie Byrd, patrząc w zamyśloną twarz pana Ferris.

— Czy należy dalej prowadzić sprawę przeciw siostrzeńcowi pani Clemmens, czy też lepiej odłożyć tę rzecz zupełnie. Chciałbym posłyszeć zdania panów w tym względzie.

— Nie sądzi pan chyba, panie prokuratorze — rzekł żywo Byrd — aby można przywiązywać zbytnią wagę do zeznania miss Darnell. Zresztą oświadczenie samego Morgana...

— Przyznaję wam, że jestem w wielkim kłopocie. Wczoraj wieczorem widziałem się z miss Darnell i...

— Czy przygotowywała pana na dzisiejsze zeznanie? — przerwał Byrd gorączkowo.

— Przeciwnie. Wyznała mi rzecz bardzo ważną — odpowiedział prokurator. — Powiedziała mi, że spostrzegła Morgana w dniu zbrodni w chwili, kiedy wychodził z ogródka pani Clemmens. Brakowało wówczas pięciu minut do godziny dwunastej, tak przynajmniej utrzymywała. Ale, jak teraz wiedzieć, które z tych dwóch oświadczeń jest prawdą? Czy to, które mi wyjawiła na osobności wczoraj wieczorem, czy też to dziwne opowiadanie, wyrzeczone dzisiaj, na sali rozpraw? Przecież przed mówieniem była związana przysięgą!

— Niech mi pan pozwoli mówić — zwrócił się Byrd do Hickoryego, który chciał coś odpowiedzieć na słowa prokuratora. — Panie Ferris, wiemy doskonale, Hickory i ja, że miss Darnell nie popełniła tej zbrodni. Jest pewna okoliczność, która temu zaprzeczyć musi.

— Okoliczność? — zapytał ze zdziwieniem pan Ferris — i ja nie wiem o niej?

— Zachowaliśmy ją w tajemnicy dotychczas, ale teraz jesteśmy zmuszeni ją wyjawić.

— To ciekawe — szepnął prokurator. — Czyżby nareszcie możliwem było rozwiązanie tej sprawy?

— Zdaje się — odparł Byrd — bo przedewszystkiem okoliczność ta wykazuje jasno, że miss Darnell nie brała żadnego udziału w zamordowaniu pani Clemmens i że zeznanie jej dzisiejsze było kłamliwe.

— To ciekawe, to ciekawe! — powtórzył w zamyśleniu prokurator. — No, ale, panie Byrd, niechże mi pan wyjaśni tę okoliczność, tak ważną!

Byrd więc w zwięzłych słowach opowiedział zajście w szopie węglarzy w dniu, w którym Hickory przeistoczył się w postać Cyryla Morgana.

— To doprawdy stawia sprawę w całkiem innem świetle — wyrzekł pan Ferris, silnie zainteresowany.

Ku wielkiemu zdziwieniu Byrda, Hickory uczynił ruch przeczący.

— Nie jestem tego pewny — odezwał się detektyw. — Wpadłem na myśl, że miss Darnell domyśliła się mojego podejścia dnia tego, i że skorzystała z tej sposobności, aby nas znowu wyprowadzić w pole.

— Co znowu! — zawołał Byrd, wzruszając ramionami. — To niemożliwe, panie Hickory. Jeżeli pan prokurator pozwoli, przejdziemy po kolei wszystkie wydarzenia, tak jak się przedstawiły od samego początku. To dopomoże nam do osądzenia, czy może być najmniejsza wątpliwość co do winy Cyryla Morgana.

— A mnie się znowu zdaje — odparł żywo Hickory — że po raz pierwszy nie zgodzimy się na tym punkcie, panie Byrd. Skoro jednak pan sobie tego życzy, to zacznij pan przedstawiać sprawę ze swojego punktu widzenia, a potem ja ją wyjaśnię ze swojej strony.

— Doskonała myśl — przytaknął pan Ferris.

— Otóż, według mojego przekonania, rzeczy w następujący sposób musiały się przedstawić miss Darnell, no, naturalnie, jeżeli ją dalej uważać będziemy za niewinną.

Rozważmy przedewszystkiem pierwszą schadzkę na polance, tak, jak była opisaną przez Sally Perkins i potwierdzoną następnie na sali rozpraw wobec sądu. Wyłania się z niej rys najwyższej wagi dla miss Darnell. Cała przyszłość Morgana, nadzieja zdobycia majątku i stanowiska, możliwość małżeństwa, wszystko to zostało siluie zachwiane odmową pani Clemmens wypłacenia sumy, potrzebnej oskarżonemu do wyzyskania swojego wynalazku. Cóż więc naturalniejszego, że od tej chwili występuje u miss Darnell gorące pragnienie pośrednniczenia wobec ciotki narzeczonego, któremu, przy pożegnaniu, wypowiada to nieszczęśliwe zdanie: „Niech pan zaczeka jeszcze do jutra!"

Nazajutrz zaś widzi niespodzianie, jak Morgan przekrada się szybko przez ogród pani Clemmens. Na razie nie przywiązuje znaczenia do tego faktu, ale, po przybyciu do miasta, dowiaduje się o brutalnym napadzie, dokonanym na panią Clemmens.

Mówią jej, coprawda, że zbrodni zapewne dopuścił się włóczęga, którego widziano krążącego w okolicy Białego Domku, ale już wątpliwość i niepokój ogarnęły jej umysł. Słyszałem sam, znajdując się blisko niej w chwili, kiedy dowiedziała się o zbrodni, jak wymówiła szeptem: „To okropne! Z tego nic dobrego wyniknąć nie może!"

Jednakże miss Darnell pragnie wierzyć w niewinność człowieka kochanego. Nalega, aby się dowiedzieć, w jakich okolicznościach pani Clemmens śmierć znalazła. Wtedy to spostrzega na dywanie pierścionek z brylantem, który na dzień przedtem wsunęła do kieszeni Morgana. Natychmiast prawda objawia się jej w całej pełni! Już teraz nie podejrzywa, ale wie, że Morgan dopuścił się zbrodni, aby uzyskać potrzebne mu pieniądze. Instynktownym ruchem opiera nogę na pierścieniu, w nadziei, że zdoła go ukryć i nie dopuści, aby ktokolwiek mógł go dostrzedz. Aby zaś odwrócić podejrzenie od siostrzeńca pani Clemmens, oznajmia następnie, kiedy, pomimo jej woli, odkryłem jej zamiar, że pierścień ten do niej należy. Zrozumiałe również jest jej wzruszenie i niepokój, kiedy ofiara, konając, wymawia owe dwa słowa „ręka", „pierścień". Słowa, przez które raz jeszcze okazuje, że mordercą pani Clemmens jest Cyryl Morgan.

Zrozumieć również można łatwo gwałtowne jej odejście, po usłyszeniu tych słów konającej, przeklinającej swojego zabójcę, bo zabójcą jest człowiek, którego żoną wkrótce zostać miała. Przejmuje się cała tem rosnącem z każdą sekundą podejrzeniem, miss Darnell, pchnięta niepowstrzymaną siłą, zaczęła badać i kontrolować, chcąc się jeszcze lepiej upewnić.

Zaraz nazajutrz wyjeżdża do Buffalo, aby zobaczyć się z Morganem i wymódz na nim przyznanie się do zbrodni. W poczekalni kolejowej w Syrakuzie spotyka się z nim niespodziewanie i nie może się oprzeć wrażeniu, jakie jego widok na niej wywiera. Twarz jej wyraża osłupienie i odrazę... „Pan chciał się ze mną widzieć? — zapytuje, cofając się instynktownie, jak przed widmem. — On zaś, widząc się zgubionym w oczach kobiety, którą kocha, powtarza machinalnie to samo zapytanie i, nie wyrzekłszy nic więcej, nie mogąc znieść jej spojrzenia.

— Miss Darnell powraca do Sydney, więcej niż kiedykolwiek przekonana o winie Cyryla Morgana. Nie może nie wiedzieć, że, jeżeli młody człowiek dopuścił się tej ohydnej zbrodni, to głównie powodowany miłością, jaką czuł dla niej. Chciał za wszelką cenę przyspieszyć ich związek i w zapamiętaniu swojem doszedł do tak krańcowej ostateczności. I zdaje się, miss Darnell wobec tego, że i ona ponosi konsekwencyę tej zbrodni, musi dzielić się ciężarem jego winy, tembardziej, że na dzień przedtem, zamiast uspokajać wzburzenie narzeczonego, wyjawiła w ostrych słowach żal do jego ciotki, za jej bezwzględny upór i brak współczucia dla ich wspólnej sprawy. Może nawet bezwiednie słowami swojemi rzuciła w umysł jego zasiew myśli, które przeistoczyły się następnie w czyn zbrodniczy.

Te względy tłumaczą, dlaczego, pomimo wszystko, młoda dziewczyna zachowała miłość swo'ą dla byłego narzeczonego. Zdaje sobie jasno sprawę, że Cyryl Morgan odtąd nie może istnieć dla niej, ale jednakże pragnie go widzieć wolnym i zabezpieczonym przed pościgiem władz. Jest przekonaną, że, ażeby dojść do tego celu, wystarczy zapewnić, że pierścień, znaleziony na miejscu zbrodni, do niej należy i zataić to, co widziała dnia tego z wieżyczki laboratoryum profesora Darlinga.

W tych okolicznościach dowiaduje się, że przez zbieg dziwnych i nieprawdopodobnych okoliczności inny człowiek, niewinny, jest oskarżony o dokonanie zbrodni. Następuje aresztowanie Gordona Hildretha i osadzenie go w więzieniu.

W pierwszych dniach miss Darnell żywi nadzieję, że nowooskarżony potrafi udowodnić swoją niewinność, ale czas upływa, nie przynosząc żadnej zmiany w tym kierunku. Miss Darnell wie już teraz, że, pomimo widzenia się z Cyrylem Morgan w szopie węglarzy, tenże nie mógł się jeszcze zdecydować do przyznania się do zbrodni. Bo przecież nie mogła przypuszczać wówczas, że pod osobą młodego inżyniera krył się nasz pomocnik, pan Hickory. W tym samym czasie niepokói jej zwiększony zostaje wiadomością, że Gordon Hildreth usiłował w więzieniu popełnić samobójstwo. Już teraz wahać się dalej nie może. Rozumie, że nie wolno jej dopuścić, aby kto inny padł ofiarą tak fatalnej pomyłki. Po namyśle wysyła list anonimowy, w tym celu, aby zwrócić uwagę władz na siostrzeńca pani Clemmens. Trzeba jednak zauważyć, że miss Darnell decyduje się na ten krok w nadziei, że Cyryl Morgan uwolniony zostanie z braku dowodów. bo sama postanawia dalej trzymać w tajemnicy ucieczkę jego z Białego Domku w dniu napadu na panią Clemmens. Dalej jeszcze łudzi się nadzieją, że w ostatniej chwili, w razie grożącego niebezpieczeństwa Cyrylowi Morgan, zdoła go jeszcze uratować, choćby takiem kłamstwem, jakiego świadkami byliśmy dzisiaj na sali rozpraw. Rozumowanie jej wydaje się w pierwszej chwili logiczne.

Pan Ormond przygotowuje system obrony, prawdopodobny dla innych, dla miss Darnell jednak ten system jest bez znaczenia.

Ona i Morgan jedni tylko wiedzą, że jest w niem punkt słaby, który łatwo obalić można. W ciągu rozprawy sprawa oskarżonego zdaje się być na dobrej drodze, niektórzy nawet wierzą w jego uwolnienie, kiedy rozmowa pana, panie prokuratorze, z miss Darnell w przeddzień powtórnego przesłuchania zmusza ją do wypowiedzenia ukrywanej dotąd tajemnicy. Rozumie z zachowania się pana, że jej oświadczenie wymówione wobec sędziów przysięgłych musi z konieczności wywołać ostateczną katastrofę — to jest zasądzenie Morgana. I wtedy w duszy toczy się walka straszna pomiędzy obowiązkiem, a miłością, której wyrzec się nie jest w stanie. W walce tej wyrasta alternatywa poświęcenia się, inaczej czuje, że Morgan nieodwołalnie zginąć musi.

Wybór jej prędko jest postanowiony. Ten sam szlachetny rys charakteru, który zmusił ją do wydania młodego człowieka, popycha ją z mocą bez wiedną do oskarżenia się o zabicie pani Clemmens, aby ratować życie tego, którego zdradzić musiała.

Jednej rzeczy tylko miss Darnell nie przewidziała w swem gorączkowem podnieceniu. Nie przewidziała, że Cyryl Morgan nie przyjmie jej ofiary i że będzie chciał wyjaśnić tajemnicę, której zachowanie jedynie uratować go mogło.

Oto, panie prokuratorze, jak z mojego punktu widzenia zapatruję się na tę sprawę. Zdaje mi się, że od początku do końca rozumowanie moje jest logiczne. Zobaczymy teraz, co na nie odpowie Hickory.

Pan Ferris słuchał z początku słów Byrda z twarzą zamyśloną i zasmuconą. Powoli jednakże, w miarę rozwijanego poglądu, rysy jego się wypogodziły. Kiedy skończył, prokurator z uśmiechem zwrócił się do Hickory'ego.

— Proszę pana, niech mi pan teraz wypowie swoje zdanie.

— Panie prokuratorze — zaczął Hickory — byłoby rzeczywiście bardzo trudnem, w stanie aktual-

nym wiadomości i argumentów, zebranych przez mojego kolegę i przyjaciela, pana Byrda, odeprzeć je zgoła i nie widzieć w nich słuszności. Aby to uczynić z pewnem zwycięstwem, trzebaby znać powód, dla którego pan Morgan tak spiesznie opuścił dom swojej ciotki w dniu 28 listopada, o godzinie dwunastej w południe.

Na pierwszy rzut oka fakt ten zapewne jest bardzo dla oskarżonego obciążający. Możliwem jest jednak, że zachodzi tu jakiś mylny zbieg okoliczności. Co do mnie, w erzę tak silnie obecnie w niewinność pana Morgan, jak niedawno jeszcze byłem przekonany o jego winie.

— Jakże nam pan wytłumaczy tą nagłą zmianę zdania, panie Hickory? — zapytał pan Ferris.

— Nastąpiła ona wówczas, kiedy pan Morgan odparł system wybrany przez pana Ormond do obrony. Od tej chwili zmieniłem swój pogląd na stan rzeczy i zacząłem uważać pana Morgan za człowieka całkiem niewinnego i bez zastrzeżeń żadnych obja wiam tę zmianę przekonania panu prokuratorowi.

— Czy w tym wypadku poszczędziłby w wiadomy nam sposób? — zapytał pan Ferris — Czy byłby się poświęcił dla miss Darnell?

— Nie mówię tego, panie prokuratorze. Myślał, że może sam fakt jego niewinności potrafiłby zrzucić z niego ciężar podejrzenia, jakiem był obarczony.

— Sądzi pan więc, że miss Darnell powiedziała prawdę, mówiąc, że ona to zamordowała panią Clemmens? — zapytał Byrd, patrząc ironicznie na Hickory'ego.

— Nie chodzi teraz o to, co ja myślę, panie Byrd. Chcę tylko udowodnić obecnie, że Morgan działał pod wpływem tego przekonania.

— Zdaje mi się, panie Hickory, że się pan myli.

— Nie, i zaraz pana o tem przekonam. Jeżeli jest możliwem wykazać przez czyn jakikolwiek oskarżonego, że w pewnej chwili Cyryl Morgan mógł uwierzyć w winę miss Darnell, to tem samem on przestaje być winnym. Jest to chyba rzecz jasna i logiczna!

— Zapewne! — przyznał pan Ferris — Ale, aby się o tem przekonać, trzebaby umieć czytać w myślach tego młodego człowieka.

— Przypuszczam, panie prokuratorze, że wystarczy rozważyć jego zachowanie się. Czy pozwoli pan, abym przedstawił je w swój sposób?

Pan Ferris skłonił głową na znak przyzwolenia, podczas kiedy Byrd uśmiechnął się sceptycznie.

— Zacznę tak, jak pan, panie Byrd, od schadzki na polance. Jedna rzecz w czasie tego spotkania najwięcej zafrasowała pana Morgana. Były nią słowa wyrzeczone przez jego towarzyszkę: „Zdarza się często, że jedne i takie same sytuacye zmieniają się zupełnie z dnia na dzień“. Naturalnym odruchem słowa te przypominają mu się natychmiast, kiedy w Buffalo dochodzi go wiadomość o zamordowaniu ciotki.

— Ależ to istne dzieciństwo, Hickory! — zawołał zniecierpliwiony Byrd — A cóż znaczyć ma pierścień, zgubiony przez niego w pokoju jadalnym Białego Domku? Czy pan całkiem o nim zapomniał, czy też uważa pan tę rzecz za drugorzędną?

— Nie zapominam wcale o tym fakcie — odparł spokojnie Hickory — Przeciwnie, nawet jest to argument, przychylny moim wywodom. Ponieważ Morgan nie zauważył, że pierścień ten został mu oddanym przez miss Darnell — sądzi naturalnie, że to ona go zgubiła na miejscu zbrodni. W każdym razie nie wiedział o tym szczególe w momencie, o który nam chodzi. Dopiero na rozprawie dowiedział się o nim. A teraz dalej. Jaki jest pierwszy ruch oskarżonego, kiedy powraca do swojego mieszkania, po dowiedzeniu się o zamordowaniu pani Clemmens? Bierze fotografię ukochanej kobiety i przekreśla ją na krzyż gwałtownym pociągnięciem pióra. Następnie związuje wszystkie listy, otrzymane od niej i starannie dotąd zachowane, czarną wstążką, jako oznakę żałoby i zakończenia ich miłości. Napróżno powtarza sobie, że młoda dziewczyna popełniła tę zbrodnię dla niego, aby mu uczynić najwyższą przysługę, na jaką się zdobyć mogła — od tej chwili przecież przestaje ona istnieć dla niego.

Spotkanie w poczekalni na dworcu w Syrakuzie, pomimo ,iż pan Byrd przywiązuje do niego wielkie znaczenie, dla mnie nie przedstawia nic ciekawego. Morgan, zarówno jak i miss Darnell, chcieli się ostatecznie przekonać, co o sobie wzajemnie myśleć mają i nie błądzić tylko w domysłach i przypuszczeniach. Tak samo, jak i miss Darnell — Cyryl Morgan zostaje zaskoczony jej nagłym widokiem i cofa się, jakby przed widmem. Zapytuje ją, czy po to przybyła z Sydney, aby się z nim widzieć, a pomieszanie miss Darnell potęguje tylko jego przypuszczenie. Jako dowód, iż tak być mogło istotnie, przedstawię tylko jego zachowanie się w dniach następnych. Nie pokazuje się w Sydney, nawet na pogrzebie pani Clemmens, bo lęka się, że będzie zmuszony spotkać się z nią, a chce o niej raz na zawsze zapomnieć. Dowiaduje się ze swojej strony o aresztowaniu Gordona Hildretha i o jego samobójczym zamiarze. Milczy jednak dalej i unika ludzi, nie chcąc skompromitować miss Darnell. Kiedy go pan wzywa, panie prokuratorze, jest przekonanym oczywiście, że tylko w roli świadka. Mógł pan sam skonstatować zdziwienie jego, kiedy zrozumiał, że jest przedmiotem pana podejrzeń. Wkońcu zostaje aresztowanym. Jest zmuszony stanąć przed sądem. Adwokat jego przygotowuje obronę bardzo zręczną i pewną, dzięki której ma nadzieję, iż uwolnionym zostanie. Wtedy zgadza się z sytuacyą i w milczeniu oczekuje końca rozprawy. Ale właśnie w chwili, kiedy wszystko zdaje się być na jak najlepszej drodze, zjawia się miss Darnell i publicznie przyznaje się do popełnienia zbrodni. Pan Ormond protestuje energicznie, chcąc osłabić wrażenie słów młodej dziewczyny i uznać je za wątpliwe. Wówczas to Morgan nie waha się już i wyznaje swoją obecność w dniu zbrodni w domku pani Clemmens, sądząc, że tym argumentem odciągnie uwagę sądu i uratuje, o ile to jeszcze możliwe, tę, która dobrowolnie poddaje się surowości sądu, nie chcąc, aby człowiek, kochany przez nią, znalazł się w niebezpiecznem położeniu. Zdaje mu się, panie prokuratorze, że mamy tu dostateczne zebranie faktów do ustalenia bez zastrzeżeń, iż Morgan wierzy w winę miss Darnell, a tem samem do wycofania mojego klienta ze sprawy. Chciałbym bardzo w tym względzie usłyszeć zdanie pana!

— To rzeczywiście bardzo możliwe — odparł po namyśle pan Ferris — Panie Byrd, czy ma pan co do zarzucenia poglądowi pana Hickory'ego?

— Powiem tylko tyle — odpowiedział z lekkiem zniecierpliwieniem Byrd — że można go zarówno zastosować do miss Darnell, jak i do pana Morgan.

— A konkluzya byłaby taką — zawołał żywo pan Ferris — że oboje nie są winni zamordowania pani Clemmens. Więc takie jest wasze obopólne zdanie, moi panowie?

— Takie jest moje — odparł Hickory bez wahania, patrząc pytająco na kolegę.

— Podzielam je także w pewnym stopniu — odezwał się Byrd. — Być może, że pan Morgan nie ma sobie nic do zarzucenia, powiem nawet, że jestem bliski tego wierzenia, po wysłuchaniu silnych argumentów pana, panie Hickory. W zamian jednak wydaje mi się rzeczą bardzo ciężką rzucić z powrotem wszystkie podejrzenia na Gordona Hildretha. Bo, czyż jest jakie inne wyjście z tego labiryntu? Jest troje oskarżonych, z których dwoje niewinnych, a więc pozostaje ten trzeci. Do dyabła! Jestem jednak zmuszony przyznać, że się grubo pomyliłem!

— Jednem słowem, moi panowie — wyrzekł poważnie prokurator, spoglądając kolejno po swoich podwładnych — zdania wasze są zgodne na tym punkcie.

— Tak — wymówili obydwaj równocześnie.

— A więc trzeba będzie przerwać dochodzenia przeciw Morganowi. To jednak ciekawe — dodał po chwili namysłu prokurator — że nie słyszeliśmy już nic więcej o tym zagadkowym garbusie? Znikł tak szybko, jak się pojawił, nie pozostawiając śladu za sobą. Czy nie pomyślał pan o nim kiedy, panie Byrd?

Zdziwiony temi niespodziewanemi słowami, Byrd podniósł na pana Ferris pytający wzrok. W wzroku tym prokurator wyczytał lekkie pomieszanie.

— Garbus nie znalazł się — odparł Byrd niechętnie — głównie dla tej przyczyny, że nie czyniłem usilnych starań o odszukanie go.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał żywo prokurator. — Słowa pana są dla mnie niejasne.

— Pomyśli pan zapewne, panie prokuratorze, że powinienem był wyjaśnić panu ten punkt jeszcze w samych początkach naszych poszukiwań za mordercą pani Clemmens. Faktem jest, że w zawodzie naszym zwyczaj mówienia jak najmniej staje się drugą naturą, której ulega się niekiedy, kiedy właściwej byłoby przerwać ten system mówienia. Jeżeli więc nie zadałem sobie trudu w poszukiwaniach tego tajemniczego garbusa, jak go pan prokurator nazywa, i nie wspominałem o nim więcej, to dla tej przyczyny, że poznałem w nim osobistość, dla której wymówkę nie chciałbym się nigdy narazić.

— Co to ma znaczyć, panie Byrd? — zapytał z żywem zaciekawieniem prokurator. — Cóż to za osobistość, na której panu tak wiele zależeć może?

— To był mój mistrz w zawodzie policyjnym, pan Gryce!

— Co? Ten garbus, to pan Gryce? — zawołał z oburzeniem pan Ferris. — I pan mu pozwolił odejść, wiedząc, kim jest, nie uprzedziwszy mnie o jego obecności i to w takiej chwili jeszcze?

Nie można było wówczas jeszcze przypuszczać, że sprawa ta będzie tak zawikłaną i trudną do rozwiązania, panie prokuratorze. Zresztą, właśnie w tym czasie pan Gryce nie był wolnym. Dzisiaj rzecz się całkiem inaczej przedstawia. Jeżeli pan ma zamiar zasięgnąć rady u niego, to nie trzeba się wahać długo. Musimy przyznać, Hickory i ja, że pomyliliśmy się i stoimy teraz na tem samem, na czem staliśmy w dniu zamordowania pani Clemmens. To jest, nie wiemy, kto jest mordercą, a sądzę, że w tym wypadku zdanie pana Gryce nie jest do odrzucenia.

Pan Ferris porozumiał się wzrokiem z Hickorym.

— Niech pan zawezwie pana Gryce, panie prokuratorze — odezwał się, jakby z żalem detektyw. — On z pewnością będzie zręczniejszy od nas.

— Zobaczymy — odparł pan Ferris. — Na razie mamy coś pilniejszego do załatwienia. Musimy cofnąć niesprawiedliwość, która takie niszczące wrażenie uczyniła na miss Darnell. Chcę jej bezzwłocznie odkryć podstęp, skierowany przeciw niej na owej schadzce w szopie węglarzy. Proszę więc pana, panie Byrd, o przyprowadzenie mi jej tutaj natychmiast. Nie trzeba, aby ta młoda dziewczyna pozostawała dłużej pod wrażeniem, że Morgan jest winnym. Przecierpiała już dosyć w tych dniach ostatnich.

Byrd z ochotą pospieszył wypełnić ten rozkaz, podczas kiedy Hickory, zawstydzony i zgnębiony, napróżno starał się nadrabiać miną, pomimo wyrzutu jawnego, jaki wyczytał dla siebie w ostatnich słowach swojego przełożonego.

Wyjaśnienie.

Po upływie zaledwie dziesięciu minut Byrd powracał w towarzystwie Beatryczy Darnell. Aby ujść, o ile możności, spojrzeniom ciekawej publiczności, młoda dziewczyna wolała zaczekać w sali, przeznaczonej dla świadków. Na pierwszy rzut oka poznać w niej było można silne wyczerpanie fizyczne, ale wzrok jej zachował zwykły wyraz postanowienia i energii.

Zachowanie jej jednak pokorne i nieśmiałe wskazywało, że aż do końca chce odegrać narzuconą sobie dobrowolnie rolę. Każdy człowiek, widzący ją, nie mógł się oprzeć uczuciu podziwu i szacunku, za to jej wielkie zaparcie się i przywiązanie. To też pan Ferris, widząc ją wchodzącą, pospieszył żywo ku niej, wyciągając rękę do gorącego uścisku. Zdziwiona tem nieoczekiwanem przyjęciem, miss Darnell podniosła na niego wzrok niespokojny.

— Zapewne mnie pan wezwał, aby raz jeszcze usłyszeć odemnie potwierdzenie mojego zeznania, wyrzeczonego w sądzie — zapytała miss Darnell drżącym głosem.

— Nie, miss Darnell. Wiem już, niestety, z doświadczenia, jak łatwo umie pani zaprzeczać własnym słowom i to w bardzo ważnych wypadkach, więc teraz wybaczy pani moją szczerość, wymagać będę coś więcej, niż słów, aby się przekonać o prawdzie pani zapewnień. Jeżeli zawezwałem panią tutaj, to dlatego, aby z kolei zrobić pani pewne wyznanie.

— Wyznanie? — podjęła miss Darnell, ze zdziwieniem patrząc na prokuratora.

— Wyznanie to nie tyczy się mojej osoby — pospieszył z odpowiedzią pan Ferris — pochodzi ono od tych panów, których przesadzona gorliwość uczyniła winnymi wobec pani i za których pomyłkę chcę panią przeprosić.

— Nie rozumiem pana — wymówiła słabym głosem młoda dziewczyna, spoglądając ze zdziwieniem na detektywów.

— Niech pani wierzy, miss Darnell — ciągnął dalej pan Ferris — że gdyby ta okoliczność była mi znana wcześniej, nie pozostawiłbym pani ani chwili w takiej nieświadomości prawdy. Pani dzisiejszego dnia dopuściła się ciężkiego krzywoprzysięstwa, miss Darnell, względem własnej osoby, a nie potrzebowałaby pani obarczać się niem, gdybyś pani sobie mogła zdać sprawę z jego bezcelowości.

— Ależ, panie prokuratorze! — przerwała młoda dziewczyna.

— Nie, nie! Niech pani pozwoli mi dokończyć. Zrozumie pani wkrótce, że mamy prawo wierzyć nie tylko w zupełną niewinność pani w sprawie zamordowania pani Clemmens, ale, że pani chciała jeszcze popchnąć winnego do przyznania się do popełnienia zbrodni i wydania się dobrowolnie w ręce władz. Pan Hickory, tu obecny, był świadkiem wysiłków pani.

Nagła bladość pokryła twarz dziewczyny i cień przestrachu przemknął w jej oczach.

(Ciąg dalszy nastąpi)





Banknoty Królestwa Polskiego: Marka polska.

Manifestacye pokojowe 1. maja.

Po raz pierwszy od wybuchu wojny odbyły się w całej Austryi obchody 1. maja, które stały się manifestacyą klasy robotniczej za pokojem, za zakończeniem strasznej wojny. W Krakowie wzięło udział w tym obchodzie kilka tysięcy osób ze sfer robotniczych, a w całem mieście, około godziny drugiej po południu, zostały zamknięte wszystkie sklepy, cukiernie, kawiarnie, restauracye i t. p., co zwiększyło jeszcze dość niezwykły nastrój w wyglądzie miasta. Zarządy fabryk zwolniły cały swój personal, jak również fabryka tytoniu i wszystkie drukarnie, wskutek czego nie wyszły dzienniki. O godz. czwartej po południu wstrzymano ruch tramwajowy, aby dać możność wzięcia udziału w pochodzie personalowi.

O godzinie piątej po południu odbyło się w sali Teatru ludowego przy ulicy Rajskiej zgromadzenie ludowe; salę wypełnili szczelnie uczestnicy manifestacyi obojga płci.

Referat wygłosił poseł Daszyński, który w jaskrawych i silnych barwach przedstawił grozę zniszczenia wojennego w Polsce, ofiary, oraz nieprzedawnione nadzieje narodu polskiego, wreszcie omówił skutki rewolucyi rosyjskiej, która uwolniła ludzkość od zmory caryzmu. Pokój winien przynieść wolność wszystkim cierpiącym narodom, a przedewszystkiem Polakom, którzy prawo do swobody, do niezależnego bytu państwowego okupili straszliwemi ofiarami i strugami krwi, przelewanej na wszystkich frontach świata za swoją i obcą sprawę. Poseł Daszyński osobny ustęp swojej mowy poświęcił także roli kobiety polskiej w tej wojnie, skazanej często na nędzę i poniewierkę. Polska kobieta mężnie wojnę przetrwała i uratowała od zagłady młode pokolenie. Zasługi jej równają się bohaterstwu na froncie.

Wkońcu poseł Daszyński postawił do uchwalenia rezolucyę następującą:



Manifestacye pokojowe w dniu 1. maja: Zgromadzenie pod pomnikiem Mickiewicza na Rynku w Krakowie

„Zgromadzeni w dniu 1. maja b. r. mężczyźni i kobiety, obywatele miasta Krakowa, uważają dzień święta robotniczego jako demonstracyę za międzynarodowem zbrataniem wszystkich narodów świata i za pokojem światowym.

Warunkiem zbratania i trwałą podstawą pokoju może być tylko wolność narodów, oparta na rządach powszechności społecznej. — Jako synowie i córki uciemiężonego i rozdartego narodu, domagamy się dla Polski wolnego i niepodległego bytu państwowego. — Rezultatem wojny światowej na ziemiach polskich może być tylko niepodległa, demokratycznie rządzona Polska!

Przejęci nadzieją, że bliski pokój światowy urzeczywistni i spełni to nasze prawo narodowe, wspominamy z czcią i wdzięcznością w dniu międzynarodowej uroczystości czyn wyzwoleńczy rewolucyonistów w Rosyi, którzy obalili carat, tego największego wroga ludzkości, Rosyi i Polski!

Niech żyje pokój światowy! Niech żyje międzynarodowe braterstwo ludów! Niech żyje niepodległa Polska!"

Imieniem kobiet przemówiła następnie pani Zofia Moraczewska, podnosząc, iż w wolnej Polsce także i kobiety znaleźć powinny wszystkie prawa obywatelskie.

Po uchwaleniu rezolucyi, zebrani ze śpiewami udali się w pochodzie w czwórkach ulicą Rajską i Szewską na Rynek pod pomnik Mickiewicza. Czoło pochodu stanowiły kobiety i dzieci. Do zebranych tłumów przed pomnikiem Mickiewicza przemówili posłowie dr Marek i Daszyński, oraz reprezentant młodzieży akademickiej, p. Tomowicz, wreszcie panna Dłuska. Poseł Daszyński wezwał wkońcu zebranych, aby w spokoju i porządku udali się do domów, co też wszyscy uczynili. Manifestacya odbyła się w największym spokoju i porządku.



Pochód w ulicy Szewskiej w Krakowie.



Robotnice krakowskiej fabryki cygar w pochodzie na Rynku.

Manifestacye pokojowe w dniu 1. maja.

Kronika tygodniowa.

Poprzednia kronika pozbawioną została swej najpiękniejszej naturalnej ozdoby, tak popularnego dziś... ogonka. Nie moja jednak w tem wina. Z kałamarza w całości dostała się na papier, stąd pod maszynę drukarską, gdzie ją walce niemiłosiernie wygniotły, i znów na papier i gdzieś, właśnie w czasie tej peregrynacyi, wydarzyło się jej to nieszczęście. Ubolewam nad tem wraz z P. T. Czytelnikami, ale poradzić nic nie mogę.

Wierny swej dewizie, iż polityce raczej dać spokój, zresztą ona nie zając, nie ucieknie, tak, jak *Nowej Reformie* opozycya z artykułu wstępnego z poprzedniej niedzieli, i dziś, w dalszym ciągu zajmę się różnymi drobiazgami, dokuczającymi nam na każdym kroku, jeśli ją zaś poruszę, to tylko mimochodem.

W pierwszym więc rzędzie pragnąłbym porządnie nawymyślać pocztcie pantoflowej, która roznosi po świecie najrozmaitsze, a najnieprawdopodobniejsze wieści. Dotąd zajmowały się ekspedycyą depesz „na własnym drucie" przeważnie niewiasty, odkąd przecież, z powodu braku kawy i innych do niej dodatków, popołudniowe zebrania towarzyskie należą do rzadkości, kolportażem różnych bajek zajmuje się i prasa.

Tak się rzecz miała z ową rekwizycyą środków spożywczych, a jeden z mych politycznych przyjaciół o mały figiel nie przypłacił życiem tej, dzięki Bogu, fałszywej pogłoski. Jest on starym kawalerem, lubi dobrze zjeść i wypić, nic też dziwnego, że swą szpiżarenkę zaopatrzył wcale dostatnio w różne stałe i płynne smakołyki. Gdy przeczytał odnośny artykuł w pismach codziennych, przeląkł się okropnie i póty nie spoczął, dopóki nie zjadł i nie wypił wszystkiego. Przy tej sposobności nabawił się takiej niedyspozycyi żołądkowej, iż myślał już całkiem seryo o porozumieniu się telefonem z zakładem pana Wolnego jeszcze za życia...

Wychodził z zasady: „Mają mi zabrać, wolę sam zjeść!"...

Gdy jednak na drugi dzień wyczytał w *Krakauer Zeitung* urzędowe zaprzeczenie tej pogłoski, westchnął tylko z boleścią, bo żal wszelaki był już poniewczasie... Co się zaś dostało do żołądka, już stamtąd nie wróci, w każdym razie nie w takim stanie, by mogło nadal być zaliczanem do rzędu środków aprowizacyjnych, przeznaczonych na czarną godzinę. Jest wobec tego niepocieszony i ma zamiar poszukiwać swej szkody na tych, którzy byli jej moralnymi sprawcami, to jest zawezwać redakcye krakowskich pism do zwrócenia zjedzonych zapasów i kosztów leczenia. A zwłaszcza te ostatnie będą wcale pokaźne, gdyż n. p. rycynowy olej poszedł ogromnie w górę na giełdzie aptekarskiej, a nawet podobno go już zupełny brak. Trudno nawet o już raz używany!

Jak więc z tego widać, nie mieć zapasów jest źle, a mieć je i być do tego strachajłą, jeszcze gorzej, czyli, że prawdą jest, iż „błogosławieni ubodzy, albowiem nie nabawią się niestrawności!"...

Dawniej, za czasów naszych prababek i jeszcze dalej wstecz, istniało podobno prawo, skazujące bajczarkę na przybicie gwoździem za język do drzwi tego domu, w którym mieszkał na czci przez nią poszkodowany lub poszkodowana. I dziś paragraf ten mógłby znaleźć może nawet jeszcze szersze, niż wówczas, zastosowanie.

Skoro mowa o aprowizacyi, to pozwolę sobie nadmienić, iż (powtarzam to na odpowiedzialność krakowskich dzienników!...) odbywają się już próby z nowym surogatem, mającym być użytym do wypieku chleba, ale nie wiemy jeszcze, co on zacz. Powiedziano tylko tyle, iż odnośna komisya stara się wyszukać taki, który zawiera jak najmniej żywicy. Przyszły mi na myśl zaraz szyszki sosnowe, poleciłem też mojej Weronisi, by rozpoczęła próby w tym kierunku, a może, jeśli się powiodą, będziemy mogli postarać się o patent na ten wynalazek, podobnie jak ów pan na chleb z grzybów.

Do tego samego działu zaliczyć muszę list, jaki otrzymałem w dniu dzisiejszym z Maryańskich Gór, od wygnanki, Halszki F.

Pani owa pisze:

„Czytam często (dlaczego nie zawsze?...) kronikę Pańską i zauważyłam, że pan zajmuje się artykułami spożywczymi. Mnie to także dość zajmuje i często smutnie nad tem rozmyślam. Ale wpadłam na pomysł, mianowicie, czyby nie dało się zużytkować łupę kartoflaną, bo, jeżeli mogą ludzie zjadać... rozmaitości, to przecież można i to zjeść. Więc myje się ją, suszy i miele na maszynce do siekania mięsa. Z tego jest wspaniała mąka, trochę ciemna, ale dość smaczna, można z niej robić kluski, a nawet pierogi. Tutaj coraz więcej już wyrabiają tą mąkę, ale w Krakowie może o tem nie słyszeli. Proszę więc o łaskawe polecenie tej fabrykacyi znajomym, naturalnie, jeśli to jest życzeniem Pana Kronikarza".

Czyniąc zadość życzeniom pani Halszki, treść listu podaję niniejszem do publicznej wiadomości, ale odpowiedzialności nie przyjmuję, jeśli owa mąka byłaby niesmaczna, lub gdyby nie udały się z niej kluski lub pierogi. Przy tej sposobności zwrócono moją uwagę, iż, aby mieć łupy ziemniaczane, trzeba przedtem mieć ziemniaki, a tego artykułu spożywczego właśnie brak. Aby mu zapobiedz, wydałem rozporządzenie, by z wszystkich wazoników wyrzucono kwiatki, a zasadzono ziemniaki, co radzę uczynić i P. T. Czytelnikom. Rzodkiewka i szczypiórek, które sam własnoręcznie podlewałem, udały się wybornie, ale także już ich niema.

Jeżeli tę kronikę przeczyta jaki Wiedeńczyk, przekona się chyba, że Galicya, a zwłaszcza Kraków, nie opływa znowu tak w artykuły spożywcze, jak to niektórzy opowiadają i że bajką są „opowieści Hoffmanna" o owych ucztach Lukullusowych, jakie Krakowianie urządzają, tak, że co drugi nabawił się już w czasie wojny zatłuszczenia serca.

Widziałem natomiast na własne oczy jadłospis z wiedeńskiej restauracyi „Deutsches Haus", przywieziony do Krakowa, jako *curiosum*, przez jednego z adwokatów. Widnieje na nim tylko dwadzieścia jeden różnych potraw mięsnych, nie licząc ryb i pięć gatunków legumin!... U nas nakłada magistrat kary na restauratorów, jeśli podają więcej, niż dwa gatunki mięsa i więcej, niż jedną leguminę, w Wiedniu dzieje się inaczej, *ergo* nie Kraków, ale Wiedeń jest ową ziemią obiecaną, mlekiem i miodem płynącą, wobec czego wybieram się tam już w najbliższym czasie na stały pobyt wraz z całym swym żywym inwentarzem, gdyż Weronisia z wszelką pewnością nie puściłaby mnie samego.

W pewnej, pierwszorzędnej do niedawna, krakowskiej restauracyi, której goście jednozgodnie twierdzą, iż nie wiedzą, co to katar żołądkowy, więc na jadło chyba narzekać dotąd nie mogli, od pewnego czasu w dni bezmięsne figuruje stale na karcie obiadowej kiszka i pęcak ze słoniną, na kolacyę zaś, dla odmiany, pęcak ze słoniną i kiszka, a organ kontrolujący magistratu, wąchając z urzędu kuchenne garnki, kręci jeszcze głową i powiada:

— Ho! ho!... A to zbytki!... Są jeszcze, widać, ludzie, których stać na coś podobnego!...

Okropnie rzadką minę miał też w ubiegły piątek pewien Wiedeńczyk, który zawadził o Kraków i, wierząc opowiadaniom przyjaciół, był przekonany, że podje sobie za wszystkie czasy, a trafił właśnie na dzień bezmięsny. Klął naturalnie i wymyślał na „polnische Wirtschaft!"... bo oni nic innego nie umieją.

Dla osłodzenia kroniki, zanim przejdę do czego innego, wspomnę jeszcze i o sacharynie, z którą także mamy dość kłopotu. Jest, a właściwie jej niema, centrala bowiem dostarcza jej w minimalnych ilościach. Wystarczy powiedzieć, iż jeden z krakowskich aptekarzy, upoważniony do sprzedawania jej w drobnych dawkach, zamówił za tysiąc koron, a otrzymał aż za... dziesięć koron i pięćdziesiąt halerzy. Myślę przecież, że z czasem się to poprawi. Są zresztą ludzie, którzy bez słodyczy obchodzą się bardzo dobrze i zostawiają je sobie na życie przyszłe. Trzeba więc wstępować w ich ślady.

Ale zato wiosnę mamy już w całej pełni kalendarzowej, choć bez zieloności, zaczyna się nawet robić nieco cieplej, wobec czego tłumy Krakowian dążą na Błonia i plantacye, gdzie magistrat, troskliwy zawsze o piękny wygląd miasta, rozpoczął odświeżanie ławek, pozostawiając je kawkom i gawronom. Dawniej dokonywali tego zawodowi malarze i lakiernicy, w tym roku prawdopodobnie budżet miejski nie pozwala na taki wydatek. Gawrony załatwią się z tem taniej, choć może nie z taką dokładnością, a jeżeli przytem dostanie się coś i kapeluszom przechodniów, oraz ich zarzutkom, to trudno. Gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą. Kto się zresztą nie chce narazić na tego rodzaju nieprzyjemności, niech siedzi w domu, nie będzie miał powodu do narzekania.

Dzień pierwszego maja obchodzono w Krakowie uroczyściej, niż w poprzednich dwu latach wojennych. Stanęły nawet tramwaje, a i Mickiewicz był bardzo zadowolony, iż przecież raz doczekał się jakiegoś uroczmaicenia i miał sposobność wysłuchania kilku mów. Była to manifestacya pokojowa, jako taka odbyła się też bardzo spokojnie. Popołudniu odpoczywali i kupcy, większość sklepów była zamknięta.

W dwa dni później święciliśmy rocznicę wiekopomnej Konstytucyi Trzeciego Maja, równocześnie zaś dwudziestopięciolecie Towarzystwa Szkoły Ludowej, tak zasłużonego około krzewienia oświaty i narodowego uświadomienia. Pogoda dopisała, rojno też i gwarno było w mieście, popołudniu zaś w Parku Jordana, gdzie się odbył pierwszy tegoroczny festyn, wyjątkowo bez deszczu, choć wielu Krakowian na wszelki wypadek wybrało się z parasolami. Czy efekt zbiórki na cele T. S. L. w tym dniu był wydatny, tego dotąd nie wiem, spodziewać się przecież należy, iż tak być musiało. Powinniśmy brać sobie przykład z Niemców, którzy na swój *Schulverein* funduszów nie szczędzą, a w ofiarności prześcigają się nie tylko jednostki, ale i instytucye. Tak samo robią Czesi i Rusini, tylko u nas dzieje się trochę inaczej, bo u nas wiele się mówi, a mało robi.

Może się przecież poprawimy!... Byłby już czas najwyższy!

Senzacyą dla Krakowa były w tym czasie dwa seanse telepatyczne, jeden w języku niemieckim, drugi w polskim. Na żadnym z nich nie byłem obecnym, jako bowiem członek honorowy „Eleuteryi", stronię od wszystkiego, co ma bodaj najmniejszy, choćby tylko z nazwiska, związek ze spirytusem. Z pierwszego, niemieckiego, mam już dokładne sprawozdanie, gdyż wysłałem w swem zastępstwie zaufania godną osobę, drugi seans odbędzie się dopiero dziś, t. j. w piątek, gdy już kronika będzie gotową, bo to w przyszłym tygodniu znowu święto i drukarnia następuje mi na pięty!

Dowiedziałem się więc z ust mego wysłannika, że seans pana Steinschneidra udał się zupełnie, choć publiczność, zwłaszcza rodzaju żeńskiego, zachowywała się trochę za głośno i za ruchliwie, a każdemu krokowi telepaty towarzyszył cały korowód ciekawych córek Ewy, utrudniających mu nawet doświadczenia.

— Wie pani, panno Salciu! — słyszałeś głos — Coś się tak we mnie telepie!

A zaraz potem odpowiedź:

— Nic dziwnego, panno Regino! Przecież to wieczór telepatyczny! Musi pani mieć w sobie także dużo fluidu!

— Pfe! Co pani mówi!...

Na dowód, że Kraków opływa we wszystko, pewna pani przyniosła ze sobą... bułeczkę z kawiorem. Telepata, lubiący widocznie tego rodzaju frykasy, wynalazł ją, to jest ową panią, a w jej torbeczce ową bułkę smakowitą, jakiegoż przecież doznał rozczarowania, gdy się przekonał, że to tylko imitacya. Bułka z masy papierowej, a kawior z gipsu!... Tego, choć z siłami nadprzyrodzonemi jest "za pan brat", nie przewidział. Wobec tego i „władza", której podano „celem dalszego urzędowania" inkryminowaną bułkę, nie miała powodu do wkroczenia.

I ja, przyznam się szczerze, choć nie jestem telepatą, nie byłbym zadowolony bynajmniej, gdyby mnie spotkał taki zawód... Biała bułeczka i kawiorek!... Dziś, w tak ciężkich czasach!... Doprawdy, nie powinno się w tak okrutny sposób igrać z najświętszemi uczuciami, boć i telepata jest przecież tylko człowiekiem, mającym apetyt i wiedzącym, co dobre i smakowite!...

Na Zachodzie gotowi znowu podnieść *larum*, jak ten Kraków sobie używa, że jada nawet białe bułki i smarnje je czarnym kawiorem! A niechta, niech sobie gadają, jeśli kto ma ochotę!

Na politykę brakło mi już miejsca, choć, co prawda, nie mam o niej co pisać, od dłuższego bowiem czasu kręci się wszystko w jedno kółko. Niby to gada się i pisze o pokoju, każdy radby go widzieć jak najprędzej, ale nikt nie chce pierwszy wyciągnąć ręki do zgody. Koalicya jest obecnie przy nadziei, mając bowiem bogatego wujaszka w Ameryce, spodziewa się po nim bardzo wiele. Ale, to bieda, że nadzieje zawodzą zbyt często, więc też i koalicyę może spotkać to samo, czego jej z serca życzę, mszcząc się w ten sposób za cierpienia, choćby tylko mego żołądka, jeśli już nie serca.

Paczkę najprzedniejszego tytoniu z głównej trafiki pana Bujańskiego ofiaruję temu, kto pierwszy zapali fajkę pokoju!

Nie można przecież przewidzieć, jak się jeszcze ułożą ogólne stosunki, zwłaszcza od chwili, gdy Chiny postanowiły Niemcom wypowiedzieć natychmiast wojnę. Dzisiejsze telegramy przynoszą wiadomość o tej decyzyi gabinetu chińskiego, który już od dawna tak tańczy, jak mu Anglia zagra. Niemcom grozi więc żółte niebezpieczeństwo i brak herbaty, bez której przecież można się obejść bardzo dobrze.

O tem wszystkiem nie powinienem nawet wspominać, skoro się zastrzegłem, iż polityce dam spokój. Ale natura ciągnie wilka do lasu, a pióro tak się już do niej przyzwyczaiło, iż, bez względu na rękę, która je prowadzi, wraca zawsze do tego tematu, który zajmuje dziś cały świat. Podobno nawet Eskimosi i Samojedzi, nie wiedząc dotąd, co to polityka, przy kubku gorącego tranu roztrząsają także jej *arcana* i czytają różne sprawozdania i komunikaty i namyślają się, czy wypowiedzieć komu wojnę czy też lepiej zachować neutralność.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka literacka.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Wynaleźć tytuły utworów niżej wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko współczesnego powieściopisarza francuskiego.

Spielhagen?
Sarnecki?
Srokowski?
Schiller?
Strug?
Laskowski?
Kulikowska?
Choiński?
Makuszyński?
Sarnecki?
Nalepiński?
Lange?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Owies biegnie na wabia na mego natręta.

Trójkąt magiczny.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko znanego polskiego komedyopisarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Sala jadalna w klasztorze. 3. Owad z błonkówek. 4. Półwysep w Ameryce. 5. Jezioro w Azyi. 6. Nazwa perfum. 7. Część armaty. 8. Pierwiastek chemiczny. 9. Przyimek. 10. Samogłoska.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Przez dodanie spółgłosek utworzyć znane polskie przysłowie:

-a--ię-e-o---e-c--a---y-ą-o-y-o-o--a.

Okienko.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a a a
a a b
b c c
c c i i k k l
l l l
n n n
p t t u u y y

Znaczenie wyrazów: 1. Znakomity historyk czeski. 2. Kraj na Bałkanie. 3. Półwysep w Ameryce.

Szarada.
Ułożył H. M., Kraków.

Pierwsze i czwarte nie u nas znajdziecie,
Tworzą one największy gór łańcuch na ziemi,
Drugie jest to zaimek, włoska rzeka *trzecie*,
Całość, punkty końcowe są średnicy globu
A gdziekolwiek staniecie, pod nogami swemi
I z drugiej strony świata szukajcie ich obu.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Biały lin widzi jajko. E!

Logogryf.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko i imię zmarłego niedawno polskiego muzyka.

— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Malarz niemiecki. 2. Świetlany krąg. 3. Dochód. 4. Poeta niemiecki. 5. Płyn upajający. 6. Miasto na Śląsku. 7. Niedorzeczność. 8. Muzyk polski. 9. Imię żeńskie. 10. Stopień wojskowy. 11. Instrument muzyczny. 12. Kierownik sceny. 13. Imię męskie.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Głodne zioła, sen, gaje.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) i e a a u e a u
2) ę a ę ę y e

Bilety wizytowe.
Ułożyło Kółko amatorów w Stryju.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód po szczególnych osób:

ROSITA SANC
TERESA KURZ
MARTIN KOŁDRA.
MARCIN WIT DE CASTANA.
ADAM KRESWICKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 17.

Łamigłówka:

Lew
lin
ewa
ale
yak
miś
pas
koń
los
eta

Zadanie do przestawienia: Jak ty komu, tak on tobie.

Zagadka kryształowa:

A
o d a
O p a w a
b r o m j o d
s o j u s z n i k
A d a m S a p i e h a
B u d a p e s z t
p e l i k a n
C r e d o
o h o
a

Zadanie do przestawienia: Hulaj dusza bez kontusza!

Grzebieniówka:

R o m a n o w s k i M.
e a o i l a
g u k n a t
a h t i r y
l e u e n l
i i r t e d
a m n a t a

Zadanie do przestawienia: Nie ten majster, co zaczął, ale ten, co skończył.

Szarada: Fatyma.

Zadanie do przestawienia: Niema reguły bez wyjątku.

Łamigłówka literacka:

Annuncyata
Romans panny Opolskiej.
Tajemnica długiego i krótkiego życia
Ucieczka.
Raptularz pana Matensza Jasienieckiego.
Grandmuszkieter.
Rotmistrz Wybraniecki.
Uskoki.
Stefan Czarniecki.
Zawrotne drogi.
Eli Makower.
Czahary.
Komedyantka
Irydyon.

Bilety wizytowe: Stany Zjednoczone. Szwajcarya. Beludżystan. Gwatemala. Wenezuela.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, K. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Podgórze, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Medyńska Zakopane, M. Serednicka Tarnów, S Skowroński, Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, E Bogdańska Koropuż, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, K. Gołąb Nowy Sącz, S Roth Tarnów, E. Winter Tarnów, M. Dudek poczta pol. 286

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Baczyński, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal na koszta poleconej przesyłki.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Medolskiego